NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 148·20 Marek, Półrocznie 296·40 Mk. Rocznie 592·80 Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 3 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 4·—, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 6 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 15 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. [illegible]

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 12 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 12 lutego 1921 Nr. 7.

Zlynchowanie murzyna w Ameryce



Barbarzyńskie wykonanie wyroku śmierci na Henryku Lovery w stanie Arkanzas.

Zlynchowanie murzyna w Ameryce.

(Do illustracyi tytułowej).

Prawo, a raczej zwyczaj „lynchu“, czyli wykonanie własnowolnie wyroku śmierci na zbrodniarzu, to pozostałość po czasach, gdy murzyni, sprowadzani z głęb Afryki, byli w Ameryce, jako niewolnicy, traktowani daleko gorzej od bydła roboczego, przedstawiającego w oczach plantatora daleko większą wartość materyalną, co do moralnej bowiem, nie widział między nimi żadnej różnicy.

Pamiętamy z młodych lat opowieści o polowaniach na murzynów, z specyalnie do tego wytresowanymi psami, o bestyalskiem znęcaniu się nad nimi plantatorów i dozorców.

Naturalnem następstwem podobnego traktowania była żywiołowa nienawiść murzyna do każdego osobnika rasy białej. Matki murzyńskie, wpajając w swe dzieci pojęcie złego ducha, przedstawiały go w postaci białego prześ.adowcy. Odpłacał też murzyn swemu tyranowi pięknem za nadobne, wyrządzał mu szkody, czyhał na jego życie, choć wiedział, że za najdrobniejsze przewinienie czeka go kara śmierci z rąk nieludzkich oprawców.

W owym czasie, gdy na obszarach dzisiejszych Stanów Zjednoczonych postanowieniami prawnemi niat się nie kierował, bo nie było władzy, którаby je stosować, powstaje tzw. prawo „lynchu“, dozwalające każdemu zupełnie bezkarnie wykonać wyrok śmierci na murzynie, przychwyconym na gorącym uczynku. Było ono pomiędzy nawet i koniecznością, aby utrzymać w ryzach zbyt często chcących się z pod nich wyłamać.

Plantatorowie wykonywali też swe prawo często z tak wyrafinowanem okrucieństwem, iż opisy i opowiadania mrożą poprostu krew w żyłach.

Z czasem niewolnictwo zniesiono, murzynów usamowolniono, do dziś atoli nie posiadają pełni praw obywatelskich, a dawna nienawiść i pogarda dla nich przechodziła z pokolenia na pokolenie. — Biały Amerykanin nie uważa dotąd murzyna za człowieka i na każdym kroku daje mu to odczuć.

Stany Zjednoczone są dziś nieg.nizmem praworządnym, murzyni zostają też pod opieką prawa, wobec czego o własnowolnem wykonywaniu sprawiedliwości przez poszczególne osobniki i mowy być nie powinno, a jednak dawne tradycye nie zamarły i ludność biała nie jednokrotnie sądzi i karze sama czarnych przestępców, uprzedzając w ten sposób wymiar ustawowej sprawiedliwości.

O podobnym wypadku, cofającym naszą wyobraźnię o wiek cały wstecz, donoszą pisma amerykańskie:

Zlinczowanie negra, Henryka Leveryego, które odbyło się w Nodena, w stanie Arkansas, wywołało ostrą naganę rządu, który grozi surowemi karami sędziom i agentom, o ileby w przyszłości dopuścili do odebrania sobie znajdujących się w ich rękach aresztantów. Levery, który zamordował pewnego farmera i jego córkę, wieziony był pociągiem do Texsu, pod eskortą dwóch agentów.

W Missisipi pociąg został nagle zatrzymany przez uzbrojony tłum, który ścigał aresztanta na przestrzeni 1600 kilometrów i w pościgu za nim przejechał w samochodach 3 państwa amerykańskie. Bez żadnej walki napastnicy porwali z rąk agentów więźnia, poczem zawlókł go samochodem na miejsce zbrodni. Przywiązali go następnie do drzewa i aż do szyi usypali dokoła niego stos gałęzi, który oblali naftą. — Zanim zapalili tę żywą pochodnię, sprowadzili żonę i dzieci swej ofiary i zmusili je przyglądać się straszliwej agonii męża i ojca.



Odznaczenie bohaterów V. Dywizyi we Lwowie: Jenerał Lamezan dekoruje odznaczonych

Odznaczenie bohaterów V Dywizyi we Lwowie.

W niedzielę 30 stycznia odbyła się we Lwowie uroczystość dekorowania oficerów i żołnierzy piątej lwowskiej dywizyi krzyżem „Virtuti militari“ i „Krzyżem walecznych“.

Dokoła katedry, gdzie odbywało się nabożeństwo, ustawiły się szeregi wojska, umajone sośniną działa i karabiny maszynowe na wozach. We wnętrzu katedry celebrował mszę św. X. biskup Twardowski, gdzie zebrała się jeneralicya, reprezentanci Rządu, Prezydyum i Rady miasta, misyi zagranicznych, uczestników powstania 1863 roku i t. p. oraz stu kilkudziesięciu walecznych, nodanych do odznaczenia. Po mszy św. X biskup Twardowski wygłosił przemówienie do odznaczonych, wyrażając im cześć, jako tym, co stali na straży honoru narodu. Zebrani odśpiewali wreszcie hymn „Boże coś Polskę“, poczem przed katedrą wśród honorów wojskowych dokonał jen. Lamezan aktu dekorowania bohaterów w otoczeniu jeneralicyi, oficerów i dostojników.

Nazwiska odznaczonych krzyżem „Virtuti militari“ są następujące:

Pułk. Łukawski Alojzy, dow. IX bryg. piech., kapt. Hofmann Juliusz Ernest, dow. 5 dyw. piech., por. Szczerbiński Jerzy. dow. 5 dyw. piech. kapt. Bacewicz Michał, por. Hajda Antoni, por. Markiewicz Justyn, ppor. Matenak Maryan, ppor Przybecki Bronisław, sierz. Marczewski Jerzy. plut. Głowa Jan kapr. Walo Jan, por. Ostrożny Serafin, ppor. Sotys Bogdan, ppor. Górecki Janusz, pchor. Cichowski Antoni, sierz. sztabowi: Wołhan Teofil, Kotlarczyk Kazimierz Car k Franciszek, Mrycz-Olszyna Edward, Moszumański Maryan, pułk. Sokolewski Stanisław, kapt. Szylejko Stanisław, por. Sawicki Władysław, por. Kuszewski Wacław ppor. Sulibóński Feliks, pchor. Goetz Rudolf ppor. Sosański Stefan, ppor. Rotter Tytus Leon, pchor. Grzeka Jan, sierż. Czereb Michał plut. Brylski Czesław Stanisław, kap. Filip Franciszek, st. sierż. Kortosiński Julian, pułk. Weiss Henryk, kapt. Wierzchoń Jan, kapt Królikowski Julian, kapt. Maresch Adolf, por. Dmyszewicz Kazimierz, sierż. sz. Piotrowski Józef, pchor. Kordaszewski Kazimierz, sierż. szt. Baida Franciszek, sierż. szt. Maziarz Wincenty, plut. Hołowiński Ludwik, kapr. Pawlak Wojciech, kapr. Fortuna Stanisław, kpr. Szpakowski Władysław, ppułk. Łodziński Tadeusz, ppułk. Battaglia Karol, maj. Filipowicz Tadeusz Justyn, maj. Schroetter Karol, kapt. Filipowicz Jan, kapt. Kruszyński Tadeusz, ppor. Kraścki Jan. ogn Rybicki Józef, plut. Rzeczuch Michał, plut. Kulta Władysław, kapr. Mielnicki Bronisław, kapr. Głąb Stefan, kapr. Salamon Hieronim, kapr. Paprocki Michał, bomb Świerz Antoni, kan. Wojnarowicz Emil, rotm. Romański Wilibald.

„Krzyże walecznych“ otrzymali: kapt. szt. jen. Mally Fryderyk, kapt. Lachowicz Fr., maj. lek Dr Nadolski Jerzy, maj. Majkowski Benedykt, kapt. Domaszewski Czesław, por. Zawisza Bogdan, pchor. Strzelecki Kazimierz, p. Marya Nadolska, pułk. Łodziński Tadeusz, kapt. adj. szt Kopacz Adam, kapt. Białkowski Kazimierz, kapt. Jasiński Lucyan, kapt. Krzysztofowicz Roman, ppor. Kozieł Józef ppor. Romanowski Michał, kan. Mirko Wojciech, kan. Orlik Józef, bomb. Dąbrowski Stanisław, kapr. Debiessen Władysław, kapr. Kalczycki Zbigniew, plut. Czerny Tadeusz, ogn. Teodorowicz Floryan, ogn. Kaczmarczyk Aleksander. ppułk. Battaglia Karol, maj. Czechowicz Leon, maj. Dr Czarnowski Stefan, maj. Szulc Lucyan, kapt. śp. Dr Wiinsz Jan, kapt. Hempl Wiktor, kapt. Hiti Józef, kap. Łuszsiewicz Edward, por. Gołewski Stanisław, por. Keller Juliusz, porucznicy: Ratman Jan, Jadowski Stefan, Zadorecki Eustach, Eizert Stanisław, Krysakowski Stanisław, Kroszyński Stanisław, Sarnicki Kazimierz, pchor. Dreszer Jerzy, kan. Kamorek Andrzej, ppor. Huszcza Edward, por. Kaleńkowski Stefan, pchor. Kalinowski Gustaw, ppor. Blacham Wiktor, ppor. Piątkiewicz Wiktor, ppor. Markowski Tadeusz, ppor. śp. Dubiel Franciszek, pchor. Cichoński Antoni, pchor. Koleńkowski Maryan, ppułk. Weiss Henryk,



Odznaczenie bohaterów V. Dywizyi. Korpus oficerski i uczestnicy uroczystości podczas defilady pod pomnikiem Mickiewicza.

kap. Królikowski Julian, porucznicy: Lewandowski Wincenty, Pękarski Stefan, Grankowski Jan, Wańczyk Julian, Dmyczewicz Ludwik, kapt. Hebering Adam, por. Łopka Antoni, kap. Wierzchoń Jan, por. Bajewicz Bronisław, ppor. Hibner Zygmunt, pchor. Klink Leonard, ppor. Dulizuk Kazimierz, pułk. Kafka Mieczysław, podporucznicy: Bordanowski Kazimierz, Borkowski Franciszek, Kilendowski Edmund, Malinowski Antoni, Semeński Mieczysław, Becze Franciszek, maj. Lewicki Józef, kapt. Dr Engel Zdzisław, por. Kozłowski Stefan, ppułk. Łukawski Alojzy.

Jen. Lamezan osobiście dekorował bohaterów, wyrażając im cześć przez pocałunek i podanie ręki.

Podziękowanie wyraził odznaczonym również prezydent miasta Neumann w imieniu miasta i ludności. Po odegraniu hymnu narodowego przez orkiestry ruszyły szeregi wojska na plac Maryacki przed pomnik Mickiewicza, gdzie odbyła się defilada.

Święto polskiego nauczycielstwa.

W poprzednim numerze *Nowości Illustrowanych* skreśliliśmy pokrótce, z okazyi obchodu jubileuszu czterdziestoletniej pracy pedagogicznej znanego nietylko w Krakowie, ale i w całej Polsce nauczyciela szkół powszechnych p. Stanisława Nowaka, zasługi, jakie położył na polu naszego szkolnictwa i dla swego zawodu, którego godności i interesów był zawsze najżarliwszym obrońcą i rzecznikiem.

Dziś, składając sprawozdanie z przebiegu obchodu którego punktem głównym była uroczysta akademia, urządzona przez ogół krakowski go nauczycielstwa na cześć Jubilata w wielkiej sali „Sokoła" w dniu lutego br., stwierdzić musimy, że było to prawdziwe święto polskiego nauczycielstwa, spieszącego z złożeniem swego uznania dla tego, który tak wytrwale i energicznie zabiega koło jego interesów tak materyalnych jak moralnych.

Znaczenie i uznanie, jakie stan nauczycielski dotąd tak mało ceniony i uznawany, zdobywa sobie coraz widoczniej, to w pierwszym rzędzie w lwiej części zasługa Jubilata, który całe swe życie poświęcił pracy wychowawczej i staraniom o dobro nauczycielstwa.

Społeczeństwo polskie dało także wyraz swej wdzięczności i uznania dla Jubilata, za Jego żmudną a owocną czterdziestoletnią pracę nad wychowaniem młodego pokolenia, zabrało też głos i nauczycielstwo, aby należycie uczcić tego, który tak gorliwym stał się obrońcą jego powagi i interesów.

A w święcie tem wzięła, śmiało rzec można, udział cała Polska, czego dowodem ów stos telegramów gratulacyjnych nadesłanych ze wszystkich stron kraju, w liczbie kilku tysięcy, nie licząc innych dowodów uznania i wdzięczności, nadchodzących dotąd z bliska i daleka.

Był to zarazem przegląd sił naszego nauczycielstwa, stwierdzający, że pod buławą takiego hetmana, jakim jest Stanisław Nowak, stało się ono bardzo poważną organizacyą, z którą musi się liczyć społeczeństwo i przyznać jej należne prawa.

Po nabożeństwie w kościele OO. Franciszkanów, wypełnili uczestnicy uroczystości szczelnie wielką salę „Sokoła". Wśród zebranych znajdowali się: delegat ministerstwa oświaty Sobiński, delegat Rady szkolnej krajowej Kopiński, inspektorzy krajowi Rzepiński i Mikulski, inspektorowie szkół krakowskich Dobrzański, Lorenc, delegat Kowalikowski, wiceprezydent Rolle, b. prez. Rady szkol. prof. Zoll, prof. uniw. prez. Instytutu Pedag. Heinrich, przedstawiciele Tow. nauczycieli szkół wyższych i przedstawiciele prasy.

Jubilata wprowadzono wśród oklasków i przy dźwiękach orkiestry na estradę. Kiedy umilkły oklaski odczytał przewodniczący dyr. Bilaban ze Lwowa rezolucję, wzywającą rząd do wytężającej walki w obronie starej ziemi Piastowskiej.

Po szeregu produkcyj muzycznych w wykonaniu orkiestry nauczycielskiej i niezwykle sympatycznych śpiewach mięszanego chóru 250 dzieci pod batutą p. Iseppiego, w serdecznych słowach przemówił do Jubilata wiceprezes Związku nauczycielskiego, poseł p. J. Smolikowski, który wskazał na ofiarną, ale owocną pracę nauczycielską p. St. Nowaka, a w szczególności na jego zapał dla zorganizowania nauczycielstwa. Związek nauczycielski, poza zapewnieniem bytu nauczycielstwu, starał się o reformę systemu nauczania w szkołach ludowych i był strumieniem odżywczym, który krzepił siły i zachęcał do pracy. Związkowi dał podstawy p. St. Nowak, mimo korzlony zwalczając wszelkie przeszkody, aby zjednoczyć nauczycielstwo całej Polski. To też dzięki jego niestrudzonej działalności Związek rozszerzył się, sięgnął na Pomorze i nad Niemen. Związek składa też Jubilatowi wyrazy hołdu i uznania, ofiarując mu na pamiątkę jego portret.

Delegat ministerstwa oświaty p. Sobiński, podniósł w swojem przemówieniu, że jubilat dzisiejszy doczekał się chwili tryumfu swojej idei. Zawód nauczycielski jest ciężki, a wymaga on przedewszystkiem oddania mu serca i duszy. I właśnie zrzeszenie nauczycielskie jest tym czynnikiem żywej siły, która tworzy zapał wśród największych trudów. I dlatego rzucenie podstaw pod wielki Związek nauczycielstwa było pociągnięciem w górę idei wspaniałej i wdzięcznej. A przed wszystkimi szedł St.



Po paryskiej konferencyi Rady Najwyższej: Delegaci państw sprzymierzonych w Sali zegarowej Ministerstwa spraw zagranicznych w Paryżu.



Święto polskiego nauczycielstwa: Jubilat Stanisław Nawak w otoczeniu uczestników uroczystej akademii odbytej w dniu 1 lutego b. r. w wielkiej sali krakowskiego „Sokoła". Obok Jubilata siedzą: delegat Min. oświaty Sobinski, prezes Związku insp. Pietrowski z Warszawy, posłowie: Smulikowski, Wośnicki, Chudy i Tomaszewski.

Fot. „Rembrandt" Kraków

Nowak, on hartował siły, mimo walk i zmagań, które niejednokrotnie mogły stać się źródłem sła-ssnej goryczy. Dziś możesz, czcigodny Jubilacie, patrzeć na swoją pracę spokojnie, a równocześnie z radością na te liczne rzesze nauczycielstwa, które rozumieją Twoje poświęcenie i są ci za nie wdzięczne. Żyjemy w trudnych warunkach, ze wszystkich granic czyha na nas wróg, a równocześnie wewnątrz kraju nie szczędzą pracy żywioły rozkładcze, aby zachwiać podstawami naszego państwa. I w takiej chwili z pociechą myśleć można, że wśród szeregów nauczycielstwa tli ogień zapału dla idei, pod tym samym sztandarem, który przed laty podniósł St. Nowak. Kończąc — mówił p. Sobiński — życzę Ci, czcigodny Jubilacie, abyś i nadal przez dłu-



Po paryskiej konferencyi Rady Najwyższej: Hala w Berlinie w której odbywa się demontowanie niemieckiego materyału lotniczego.

gie lata przewodniczył Związkowi i prowadził go, przyświecając mu swoim zapałem i gorącą pracą, a wam, panie i panowie, abyście zachowali w sobie ideał służby dla społeczeństwa, wierni hasłu, które wam towarzyszyło aż do chwili dzisiejszej. A w haśle tem niech będą tylko słowa: „Ojczyźnie i z miłości dla niej“.

Następnie w gorących i serdecznych słowach przemówił przewodniczący krakowskiego „Ogniska“, p. Orszulski, oraz dyrektor szkoły imienia św. Wojciecha, p. Marja, poczem zabrał głos wiceprezydent Rolle, podnosząc zasługi jubilata, oraz życząc mu imieniem prezydyum miasta i Rady miejskiej, w której Jubilat od lat wielu z pożytkiem dla spraw szkolnych zwłaszcza pracuje, dalszej, owocnej pracy dla ojczyzny.

Składali następnie życzenia: imieniem krakowskiej Rady szkolnej miejskiej inspektor Dobrzański, przedstawiciele Związku katechetów X. Kraupa, przedstawiciel krakowskiego Koła Nauczycieli szkół wyższych, dalej poseł Woźnicki w imieniu sejmowego Klubu nauczycielskiego, przedstawiciele Ognisk nauczycielskich w Poznaniu i Łodzi, wreszcie liczni reprezentanci Ognisk nauczycielskich z różnych miast i okręgów Polski. We wszystkich przemówieniach dźwięczała serdeczna nuta hołdu i uznania zorganizowanego nauczycielstwa dla jubilata za jego niezmordowaną pracę dla zrzeszenia nauczycielstwa i dla jego pracy oświatowej.

Niezwykle sympatycznie przyjęte było wystąpienie przedstawiciela D. O. G. krakowskiego, kapitana J., który imieniem tej najwyższej władzy wojskowej w Krakowie pospieszył z uznaniem dla przedstawiciela tego nauczycielstwa, które rzuca podwaliny pod kulturę i poczucie obywatelskie przyszłych zastępów armii polskiej.

Wszystkie przemówienia przyjmowane były burzą oklasków przez tysiączną rzeszę słuchaczów.

Po dalszych produkcyach orkiestry naucz. pod batutą p. Koniora i po deklamacyi p. Patyny, odczytano szereg depesz, których nadeszło z górą 9.600, między innemi od ministra Rataja, b. wiceministra Łopuszańskiego, posła Prausa, pp. Gąsiorowskiego, Żłobickiego i innych.

W końcu głęboko wzruszony jubilat podziękował wszystkim przedstawicielom władz, delegatowi ministerstwa oświaty, oraz kolegom za gorącą i szczerą życzliwość.

Na zakończenie odbyła się wspólna fotografia na boisku „Sokoła“.

Wieczorem w sali Towarzystwa Strzeleckiego przy ul. Lubicz urządzono na cześć jubilata raut.

Po paryskiej konferencyi Rady Najwyższej.

Rada Najwyższa, czyli Rada Premierów państw sprzymierzonych, odbyła w styczniu konferencyę w Paryżu. Na porządku dziennym znajdowała się sprawa rozbrojenia Niemiec i zapłacenia przez nie odszkodowania wojennego w myśl postanowień traktatu wersalskiego.

Obiema temi kwestyami zajmowali się sojusznicy już niejednokrotnie, nie można było przecież w żaden sposób dojść do ostatecznego porozumienia, a to dzięki dziwnej ustępliwości Anglii, za którą szły i Włochy. Rząd angielski, reprezentowany w Radzie Najwyższej głównie przez Lloyda George'a, tak, jak poprzednio groził Niemcom zupełnem zniszczeniem ich dawnej potęgi i obiecywał najskrupulatniejsze wykonanie postanowień traktatowych, zmienił widocznie swe zapatrywania, oświadczając się zupełnie otwarcie za daleko idącemi ulgami na rzecz pokonanego wroga. Niemcy znalazły jakiś środek, aby przemówić Lloydowi George do przekonania. Zrezygnował nawet z postawienia przed sądem byłego cesarza Wilhelma. Francya natomiast, bardziej w tem osobiście interesowana sprawę rozbrojenia Niemiec i odszkodowania, stawiała zawsze na pierwszem miejscu, nie miała jednak za sobą nikogo, kto chciałby ją popierać.

Ta ustępliwość Anglii rozzuchwaliła Niemcy, pewne już, że dzięki temu poparciu i swym intrygom uda się sprawę całą odwlec co najmniej w nieskończoność. Przeciw rozbrojeniu wystawiono bolszewickiego straszaka, z racyi odszkodowań starano się ubić dla siebie sprawę górnośląską.



Po paryskiej konferencyi Rady Najwyższej: Zdementowany wojenny materyał niemiecki przeznaczony na cele przemysłowe

Ostatecznie przecież, gdy Niemcy dały dowód, że nie tylko o rozbrojeniu nie myślą, owszem zbroją się dalej, zwyciężył w Radzie Najwyższej kierunek francuski. Przejrzał nareszcie i Lloyd George i ustąpił z dotychczas zajmowanego stanowiska, które kazało mu bronić Niemiec, wbrew interesom sojuszników. Na konferencyi ustanowiono tym razem już jednozgodnie, że paragrafy traktatu wersalskiego odnoszące się do sprawy rozbrojenia Niemiec i zapłacenia przez nie odszkodowania muszą być w całości w oznaczonym terminie wykonane, w przeciwnym zaś razie musianoby wobec opornych zastosować daleko idące środki represyjne, w szczególności dalsze zajęcie terytoryów niemieckich. Że nie są to gołosłowne pogróżki, lecz w miarę potrzeby mogą się w czyn zamienić, świadczyły o tem ruchy wojsk francuskich na granicy niemieckiej. Pewnem ochłodzeniem niemieckich zapałów powinna też być i podróż do Paryża Naczelnika Państwa Piłsudskiego i świeżo z tego powodu ogłoszona urzędowa deklaracya o wspólności interesów francuskich i polskich.

Konferencya paryska rozpoczęła swe obrady w dniu 24 stycznia w Sali zegarowej ministerstwa spraw zagranicznych pod przewodnictwem A. Brianda. Wzięli w niej udział następujący delegaci:

Francuski, Briand przewodniczący konferencyi, popierany przez Berthelota, angielski, Lloyd George i Curzon, włoski, hr. Sforza i hr. Bonin Longare, jak też markiz de la Torretta, belgijski, Jaspar i Theunis, japoński, Ischii. Każda delegacya przybyła w towarzystwie dwóch sekretarzy. Z góry było rzeczą postanowioną, że rzeczoznawcy techniczni będą wprowadzeni dopiero wtedy, skoro pojawią się na porządku dziennym sprawy, do których osądzenia zostali powołani. Po krótkich słowach powitalnych Brianda i po krótkim skreśleniu porządku dziennego omawiano pytanie pierwsze, które właściwie spowodowało zwołanie konferencyi, mianowicie kwestyę rozbrojenia.

Program obrad konferencyi obejmował następujące punkty: 1. Rozbrojenie i odszkodowanie. 2. Dostawa węgla. 3 Międzynarodowy system kredytowy. 4. Sprawa rosyjsko polska. 5. Sprawa plebiscytu w Wilnie. 6 Kwestya uznania państw bałtyckich i kaukazkich

Na konferencyi osiągnięto najzupełniejsze porozumienie co do wszystkich punktów, głównie zaś rozbrojenia Niemiec i odszkodowania wojennego. Na wypadek gdyby Niemcy starały się w jakiś sposób uchylić od wykonania postanowień traktatu wersalskiego, przyjęto następujące środki przymusowe: 1. Przedłużenie terminu opróżnienia obszarów nadreńskich. 2. Obsadzenie nowych obszarów. 3. Wprowadzenie opłat celnych nad Renem.

Ostateczny termin rozbrojenia i zniszczenia materyału wojennego naznaczono na dzień 1 lipca br.

Cała prasa paryska wyraża się z zadowoleniem o wynikach konferencyi. Dzienniki podnoszą zręczność dyplomatyczną Brianda, który potrafił obronić prawa i godność Francyi. „Petit Parisien“ jest zdania, że rozwiązanie, które osiągnięto, będzie nadzwyczaj ważne dla tego, że położy kres okresowi niezadowolenia i wahania. „Petit Journal“ sądzi, że konferencya obrawszy drogę zdrowego rozsądku, odpowiedziała oczekiwaniom tych, którzy zalecali w imię interesu Francyi, jakoteż w imię interesu ogólnego zajęcie stanowczego stanowiska.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

30

I.

— Nie kocham już nikogo na świecie — szepnął głos ledwie dosłyszalnie.

— Chcę mówić o jedynej istocie, którą kochasz jeszcze Maryo.

— O jedynej...

— Tak. Mam wiadomości. Otwórz Maryo.

Chwila milczenia, poczem klucz zazgrzytał w zamku i drzwi uchyliły się. Markus Henner wszedł do środka. Pokój był mały w porównaniu z sypialnią, którą przed chwilą opuścił. Jedyne okno również zasłonięte było firanką i zamknięte szczelnie.

Panowała tu prostota największa. Ściany nagie bez ozdób, ubielone były tylko wapnem. Najgłówniejszym sprzętem tego pokoju, było łóżko, małe, żelazne, łóżko pokryte tylko grubą pospolitą derką. W rogu stało biurko i mała szafka, która służyła także za bibliotekę, klęcznik i dwa stołki.

Osoba, która drzwi otworzyła stała teraz obok klęcznika, z którego niedawno powstać musiała. Okryta była od głowy do stóp w szeroką, wełnianą, białą suknię, spadającą w sztywnych zakonnych fałdach ku ziemi. Była to kobieta wysoka i wysmukła. Twarz jej blada wyrażała silny niepokój i odrazę. Markus Henner długą chwilę patrzał na kobietę oczami, w których przebijała miłość i gniew stłumiony.

— Maryo — odezwał się w końcu, dlaczego obchodzisz się ze mną w ten sposób?

Kobieta na jego zbliżenie cofnęła się szybko aż do ściany.

— Nie zbliżaj się Markusie! ostrzegła ostro.

— Nie lękaj się, nie zbliżę się więcej do ciebie — odparł gorzko Markus.

— Jeżeli się zbliżysz, wiesz co uczynię, ciągnęła dalej kobieta stanowczym głosem.

— Zabijesz się, co? Ty, chrześcijanka, taka gorliwa? — zaśmiał się ironicznie Markus.

— Umrę za wiarę moją i Bóg mi przebaczy — wyrzekła z uniesieniem kobieta.

— Maryo! uspokój się. Nie przychodzę w złych zamiarach.

— Powiedz Markusie co masz mi powiedzieć, a potem odejdź — rozkazała ściągając wąskie, czarne brwi.

— Więc zawsze odpędzać mnie będziesz od siebie? szepnął Markus, przesuwając ręką po czole.

— Zawsze!

— Lękasz się mnie?

— Wstręt we mnie budzisz!

Taka, jak tamta — wyrzekł cichym głosem Markus.

— Co mówiłeś?

— Nic. Narzekam na los mój.

— Ty sam Markusie przeciw niemu występujesz!

— Maryo! Kocham się od lat piętnastu! zawołał nagle garbus błyskając roziskrzonem spojrzeniem.

— Zupełnie bezcelowo — odparła spokojnie kobieta.

— Czy mam umrzeć nie otrzymawszy słowa miłości od ciebie?

— Słowa litości, tak, miłości nigdy.

— Nie chcę twojej litości. Chcę miłości twojej Maryo!

— Jestem już starą kobietą, Markusie Henner.

— Dla mnie, masz zawsze dwadzieścia lat!

— Wiesz, że poświęciłam się Bogu.

— I jeszcze innej osobie! — zadrwił zuchwale garbus.

— Tak — odparła kobieta. O niej to miałeś mi mówić, Markusie.

— Ja? Ja chciałem z tobą o sobie pomówić.

— A więc mnie oszukałeś?! Ażeby uzyskać wejście do tego pokoju? Ażeby mnie dręczyć swoją obecnością?

— Maryo!

— Chcę pozostać sama! Odejdź ztąd!

— Maryo! Nie doprowadzaj mnie do ostateczności — szepnął garbus.

— Co? Chcesz mnie zamordować może?

— Nie.

— Więc co?

— Nic, Maryo! Nie odpędzaj mnie w ten sposób od siebie.

— Czego więc chcesz odemnie, Markusie?

— Spojrzenia, uśmiechu, pocałunku — wymówił z trudem garbus, podchodząc do niej.

— Nigdy! nigdy!

— Bądź dobrą, Maryo, uwielbiam cię! błagał Markus, usiłując pochwycić jej rękę.

— Nie dotykaj mnie! krzyknęła, przytulając się do ściany z wyrazem nieopisanej odrazy w oczach.

— Ale cóż ja ci takiego uczyniłem, powiedz? Co uczyniłem!? Dlaczego jesteś dla mnie tak okrutną i niesprawiedliwą — zawołał Henner.

— Czyś już zapomniał!? zapytała z przyciskiem patrząc mu prosto w oczy, z wyciągniętą naprzód ręką.



Nie dotykaj mnie! krzyknęła, przytulając się do ściany z wyrazem nieopisanej odrazy w oczach.

— Nie! Nie! zawołał rozpaczliwie chcąc ją pochwycić.

— Czy lękasz się mnie, Markusie Henner? Jestem przecież nieszczęśliwa istota bez opieki i obrony.

— Mówiąc to postąpiła krok naprzód i prawą ręką odchyliła fałdów szerokich tuniki.

— Przez litość, Maryo! zawołał powstrzymując jej rękę.

— A więc brzydzisz się swoją zbrodnią, Markusie? zapytała powoli.

— Tak — szepnął pochylając nisko głowę.

— Żałujesz, żeś to uczynił?

— Tak — szepnął pochylając nisko głowę.

— Dlaczego więc postąpiłeś w ten sposób?

— Przez miłość dla ciebie.

— Oh! Boże! — zawołała rozpaczliwie.

— Nie wymawiaj imienie twojego Boga!

— Módl się do niego, Markusie Henner! Módl się!

— Nigdy, Maryo!

— On jeden! on jeden przebaczyć ci może i powrócić spokój!

— On powinien dać mi twoją miłość!

— Nie! On nie może pozwolić na taką zbrodnię!

— Dlaczego?

— Nie jesteś Chrześcianinem, Markusie Henner! Zaległo milczenie.

— Mów mi o niej — podjęła po chwili kobieta.

— O niej? Nic o niej nie wiem.

— Ona umarła, nieprawdaż?

— Ona żyje!

— Kłamiesz, ona umarła! Kłamiesz dla zachowania mnie przy życiu.

— Przysięgam ci Maryo, że ona żyje!

— Gdzież jest?

— Niewiem.

— Musisz jej szukać.

— Szukam jej — odpowiedział, uśmiechając się gorzko.

— Musisz ją odnaleźć, Markusie!

A pokochasz mnie wówczas — szepnął zbliżając się do niej.

— Będę się modlić za ciebie.

— To mi nie wystarczy.

— Odnajdź ją, Markusie, odnajdź!

Odnajdę, choćby na końcu świata — wyrzekł twardym głosem.

— Więc ci także na tem zależy?

— Tak.

— Oh! Boże! westchnęła kobieta blednąc z radości. A jak ją znajdziesz to co uczynisz, Markusie?

Markus Henner zamilkł i nisko głowę opuścił na piersi.

— Markusie, co z nią uczynisz? powtórzyła kobieta silnym rozkazującym głosem.

— Nic, Maryo, nic! odpowiedział garbus zgnębionym głosem.

— Przyprowadzisz ją do mnie?

— Jeżeli przyjść zechce.

— Czy sądzisz, że nie zechce przyjść do mnie?

— Nie zechce przyjść ze mną!

— A dlaczego Markusie Henner? zapytała surowo Marya, mierząc go przenikliwem spojrzeniem.

— Nie pytaj mnie o to.

— Powiedz mi dlaczego. Ja chcę to wiedzieć, muszę.

— Ona mnie nienawidzi — wyznał Henner cichym, zduszonym od wściekłości głosem,

— Tak jak i ja!

— Tak, jak ty, Maryo!

— Czy w tym samym stopniu — spytała Marya, przeszywając go spojrzeniem.

— Niewiem... w większym jeszcze — szepnął okrywając twarz w dłoniach.

— Nienawidzi cię jeszcze więcej odemnie!? To niemożliwe! wyrzekła głucho i w oczach łagodnych, zajaśniały błyskawice gniewu i wstrętu.

— Więc i ty mnie tak bardzo nienawidzisz, Maryo!

— Bardzo!

— A przecież jesteś dobrą!? Jesteś chrześcijanką!

— Codziennie błagam Boga o przebaczenie mi tego grzechu.

— Ja cię tak kochałem, Maryo!

— A ja tak kochałam innego człowieka Markusie! a ty zabrałeś mnie przemocą od niego!

— On umarł! — wyrzekł cicho Henner.

— Umarł! On! Moja miłość jedyna! zawołała Marya rozpaczliwie.

— Umarli nie powracają — odparł Markus patrząc ostro w jej oczy.

— Umarł przez ciebie!

— Ja go nie zabiłem!

— Śmiesz zaprzeczać temu. Ty śmiesz, Markusie! Oh! Boże! Czy możliwa jest podłość tak potworna!

— Ja go nie zabiłem, Maryo! powtórzył garbus.

— Jesteś wstrętnym zbrodniarzem, Markusie Henner! Wciągnąłeś w ochydną zasadzkę Johana Straube, w której on zginąć musiał! A on biedak nieszczęsny uwierzył w śmierć moją — zalka a spazmatycznie opierając się całym ciężarem o ścianę.

— Istotnie, on w to uwierzył — szepnął Markus z dzikim uśmiechem ironii na ustach.

— Uwierzył! To ty, potworze w błąd go wprowadziłeś ukazując mnie oczom jego pozornie nie żywą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

32

I.

Ale równocześnie cała groza położenia ojca i rodziny stanęła jej żywo przed oczami i nagle żal poczuła do siebie, za tę egoistyczną radość, któ ej się tak bezmyślnie w pierwszej chwili unieść dała. Ciężkie westchnienie wybiegło z jej piersi; radosną nadzieję, która tak niespodziewanie zawitała w jej serce, trzeba było znowu przemocą odrzucić od siebie, bo myśleć tylko o sobie w tak przełomowej chwili wydawało się jej czemś złem, co zemścić się mogło i nowe na jej głowę przynieść nieszczęście.

Bezradnemi, smutnemi oczami patrzyła na starego służącego, który obserwował ją z pod oka i wymówiła niespokojnie:

— Więc powiadacie Franciszku...

— Eh! stary ze mnie a głupi — przerwał jej szybko. Niepotrzebnie tylko panience popsułem zabawę mojem gadaniem. O nieszczęściu człowiek zawsze się na czas dowie... A może nie jest jeszcze tak źle, jak ludzie przypuszczają.

— Więc nie wiecie jeszcze nic pewnego? — zapytała Stasia ożywiając się trochę.

— Już od tygodnia gadali coś o tem po mieście. Mówił mi także o tem płatniczy z kawiarni, gdzie ojciec panienki chodzi. — Oni tam wszystko pierwsi wywęszą, bo panowie nie krępują się i przy nich o interesach mówią. Ale kto tam wiedzieć może. Niejednemu się już noga poślizgnęła, a jednak się wyratował w końcu.

— Ale mama i Kazia nic o tem nie wiedzą — prawda?

— A coby wiedzieć miały? Ja tylko tak przed panienką się wygadałem, bo wiem, że panience nie pieniądze i fumy w głowie.

— Nie trzeba nic im mówić, Franciszku — szepnęła prosząco Stasia. — Nie trzeba! Toby dla mamy cios był okropny! A może jak powiadacie, nie będzie jeszcze tak źle i ojciec sobie jakoś poradzi.

— A dałby Bóg panienko — odparł Franciszek, ale w głosie jego nie było szczerości ani przejęcia.

W tej chwili do pokoju wpadła Kazia, świeżo ulokowana w czerwonej matince, od której silnie odbijała jej mocno napudrowana twarz.

— Stasiu! bój się Boga! — zawołała poirytowanym głosem. — Tyle jeszcze jest do roboty, a ty tu się guzdrasz bez końca! Mama kazała ci się spytać, czyś przygotowała programy do wieczoru? Ja już nic ci pomóc nie mogę, bo muszę się ubierać. Hrabia Gucio zaraz nadjedzie z pociągu a i zamówieni artyści także się zjeżdżać zaczną. Muszę być gotowa na ich przyjęcie!

— Idź się ubieraj i nie troszcz się o mnie — wymówiła machinalnie Stasia. — Wszystko będzie na czas gotowe.

— Ale ty zajmij się przecież swoim Markiewiczem — rzuciła jeszcze od drzwi Kazia. — Nudzi się biedaczysko i dyskretnie ziewa po kątach. Przyjemną ma z ciebie narzeczoną! Ja będę mieć dosyć do roboty ze swoim hrabią i zaproszonymi gośćmi.

Stasia nic nie odpowiedziała, tylko zabrała się do wykończenia porzuconych na chwilę bukietów.

— Widzi mi się — przerwał milczenie Franciszek — że panna Kazia odpocznie dzisiaj od bawienia hrabiego Gucia.

— A dlaczego to? — zdziwiła się Stasia.

— Bo jeżeli on tam coś przewąchał w Krakowie, to się więcej tu nie pokaże — kończył stary, znacząco kiwając głową. — On się tam przecież dla pięknych oczu panny Kazi nie żeni, nie obrażając panieneczki.

Stasia zagryzła wargi, bo nagle ogromna złość i niechęć zanurtowała w niej, do tych wszystkich ludzi, których pieniądze ojca ściągnęły do ich domu i gorzkie, ostre słowa cisnęły się jej na usta. Ale opanowała się prędko, bo cóż ona jedna przeciw nim znaczyć mogła. Bolało ją tylko, że matka i siostra, dały się tak łatwo złudzić fałszywym pozorom tej nagłej przyjaźni i zainteresowaniem i nie widziały prawdziwych zabiegów, których cel był dla niej zawsze aż nadto jasny.

I do tego doszło, że taki stary służący litował się może nad niemi, a może i wyśmiewał w duszy.

— Niech się dzieje co chce — westchnęła ciężko. — Jeżeli prawda jest co on mówi, to ta katastrofa opamięta może mamę i Kazię, a przedewszystkiem uwolni nas raz na zawsze od tych wstrętnych poszukiwaczy naszych posagów.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Urok liliowy szedł od łańcucha ciemniejących gór otaczających Zakopane i cicho kładł się po dolinach. Ostre orzeźwiające powietrze płynęło falami z jarów i wąwozów górskich, niosąc przejmujące zapachy rozgrzanych za dnia słońcem świerków i roślin leśnych. Gdzieś z za Giewontu odcinającego się ciężką, olbrzymią plamą na tle dogasającego ostatnimi blaskami nieba, wyszła blado różowa kula księżyca i wysrebrzając się z każdą chwilą, stanęła zda się nieruchomo, jak duża lampa, posyłając ku ściszonej dolinie blade, zimne światło swoich promieni. — Ale w willi „Stamary", oświetlonej rzęsiście rozbrzmiewającej wesołymi głosami i śmiechem, nikt chyba nie zauważył, że gwar ten gorączkowy i sztuczny, dziwnie nie harmonizował z głęboką, poważną ciszą, która zalegla wokoło, że w to milczące skupienie wszystkich tajemniczych sił natury, śmiechy i głosy krzykliwe wpadały jak zgrzyty natrętne i dokuczliwe.

Każdy był tak zajęty podnieceniem się, łatwą zabawą i sobą, że na poddanie się uniesieniu, głębszemu nastrojowi, ani czasu, ani ochoty nie było.

Koncert dzięki staraniom Markiewicza i sił artystycznych przybyłych z Krakowa udał się znakomicie i zadowolił niewykwintne żądania zebranych gości, pragnących lekkiej muzyki i dosyć swobodnej rozrywki. Z estrady prowizorycznie urządzonej, wpadały na salę przepełnioną, skoczne dźwięki kupletów nie tak może dowcipnych jak błazeńskich, pobudzając słuchacza do bezustannych oklasków i wybuchów śmiechu. Każdy chciał się zabawić szczerze, bo dlaczegóż bawić by się nie miał za pieniądze „tych głupców Gawlików", których kosztem bawiono się na równi z obfitym programem wieczoru.

Gawlikowa, pyszna, dumna swoją urojoną wyższością nad tłumem zaproszonych przez siebie gości, wodziła oczami po sali, śledząc stopień zadowolenia i podziwu, który był je dziełem.

— Niech wiedzą, że Gawlikowie umieją urządzić zabawę jak się patrzy — mówiła do siedzącej obok niej Kazi. — Popatrzno jak wszyscy rozdziawili ślepia!

Ale Kazia wzruszyła tylko ramionami i syknęła przez zęby.

— Niechże mama już przestanie. Jeszcze kto usłyszy.

— Owa! dużo sobie z tego robię — odparła Gawlikowa, poprawiając się na krześle. - Ale cóżeś ty taka przykra jak chrzan. Nie dąsaj się tak, bo ci z tem nie do twarzy. Jeszcze pomyślą, że małżeństwo twoje zerwane. Nie przyjechał, bo coś ważnego mu zajść musiało i koniec. Przecież teraz do ślubu już niedaleko, to musi się zająć urządzeniem mieszkania. Baron Wikty także nie przyjechał i siedzi skwaszona i zła i ciągle tylko coś poszeptuje z matką.

— Co mama mówi? Nie przyjechał? — zdziwiła się przyjemnie Kazia.

— A nie! Na nic dzisiaj uwagi nie zwracasz. Pewno nawet jej nowej sukni nie widziałaś.

— A nie — przyznała się Kazia.

— No widzisz, do czego podobne takie niepotrzebne zamyślenie.

— Niechże mi mama powie jaką ma suknię, bo nie widzę nic ztąd? — prosiła Kazia, którą słowa matki wprawiły już o lepszy humor.

— Ano, powiadam ci istne straszydło. Wygląda w niej jak kukiełka z jasełek. A tyle o tej sukni narozpowiadały obydwie.

— Ależ jaka jest? jaka? nagliła Kazia.

— Zielona jak trawa majowa!

— Nie może być!

Kazią ciekawość tak zatrzęsła, że uniosła się na krześle i ponad głowami siedzących wypatrywać zaczęła Szulcowej z córką.

— No widzisz ją? — zapytała Gawlikowa.

— Widzę... ale się też ubrała! Jak na maskaradę.

— I te żółte koronki jak szafran! co? Że też z porządnego magazynu wypuścili takie paskudztwo!

— Co im tam o to, byle zapłacili. już też ta Wikta nigdy żadnego gustu nie nabierze.

— A widziałaś jaka siedzi zła i nadęta. Boi się o swego barona.

— Może już ją puścił — zauważyła złośliwie Kazia, zapominając o swojem zmartwieniu.

— Kto ich tam wie. Niewiadomo poco przeciągają tak z tem ślubem. Baron ledwie nogami włóczy, a już parę miesięcy jak są zaręczeni — szeptała dalej Gawlikowa, której oczy błysnęły teraz nietajoną niechęcią i złośliwością.

— Spuściłyby trochę z tonu — dogadywała Kazia. — Chodzą obydwie pyszne jak pawie.

— A pewnie. Dosyć mi już one żółci ulały — skarżyła się Gawlikowa, wzdychając ciężko. — Odwróć się teraz w inną stronę — szarpnęła Kazię za rękaw, — bo się patrzą na nas i uśmiechnij się, bo gotowe pomyśleć, że martwisz się, że hrabia twój nie przyjechał. Jutro napiszesz do niego list przez Franciszka. Nagadaj mu tam porządnie. Zajęcie zajęciem, a obowiązek dla narzeczonej pierwsza rzecz.



Kazią ciekawość tak zatrzęsła, że uniosła się na krześle i ponad głowami siedzących wypatrywać zaczęła Szulcowej z córką.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Najniewdzięczniejsze są dla kronikarza kroniki tak zwane „przełomowe“, jak naprzykład niniejsza. Pisać ją musi jeszcze w karnawale, i to w okresie jego ostatnich przedśmiertnych, więc najszalniejszych podrygów, Czytelnik dostanie ją do rąk już w czasie wielkopostnym. Cnoć więc wokół wre zabawa wesoła, jedni nie odetchnęli jeszcze, a nawet nie wyspali się porządnie po Reducie prasy, inni przygotowują się do „tłustych sobót, niedziel, poniedziałków i wtorków“, on dziś już musi swą lutnię nastroić na nutę „gorzkich żali“.

Ale trudno!... Tak każe składacz, który choć nie jest egiptologiem, potrafi odczytywać kronikarskie hieroglify, i jemu też przypada w udziale ta bardzo wątpliwa przyjemność odcyfrowania tego, co kronikarz nabazgrze (oj, to prawda — przyp. zecera).

Wola jego jest zatem dla kronikarza rozkazem, a on już w piątek przypomina się pamięci, gdyż arkusz z kroniką musi być gotowy w poniedziałek, by go już we wtorek mogła przyjąć w swe objęcia maszyna drukarska.

Trzeba więc pogodzić się z przykrą rzeczywistością i już w sam tłusty czwartek starać się o wielkopostny nastrój. Całe szczęście, że kronikarz, jak już poprzednio zaznaczył, do bawiących się nie należy. Zmiana tonu nie sprawi mu zatem zbytniej trudności. Zresztą, wstajemy codziennie o godzinę wcześniej, możemy zatem i o tydzień wcześniej rozpocząć „gorzkie żale“, które, tak, czy owak, śpiewamy rok cały.

Karnawał należałoby pożegnać, ale, ponieważ żegnać można tylko to, co było *de facto*, a dla kronikarza on właściwie nie istniał, nad końcem jego przechodzi zatem do porządku dziennego. Być może, że doń jeszcze w jednej z następnych kronik powróci, o ile jednak otrzyma sprawozdanie od redakcyjnego balowego referenta, którego od dwu tygodni nie widział. W nocy pracuje nogami na dobroczynne cele, w dzień śpi, aby nabrać siły do dalszego ciągu, nie ma więc czasu na złożenie sprawozdania, co widział. Wiadomem jest tylko, że zdarł w tym miesiącu już dwie pary bucików, co jest aż nazbyt wymownym dowodem, że tegoroczny karnawał udał się w zupełności.

Ze smutkiem tylko stwierdzić się musi, że w czasie karnawałowym kronikarz pączka ani nie jadł, ani nie widział, słyszał tylko o nim, gdy Weronika odczytywała przepis ich smażenia, aby się przekonać, ile też sporządzenie tego karnawałowego specyału kosztowałoby w obecnych stosunkach z zastrzeżeniem naturalnie „o ile byłyby węgle“..., gdyż trudno użyć do tego ciepła słonecznego. Pokazało się, że... tysiąc marek może wystarczy, aby każdy z domowników dostał po dwie sztuki, i to z powidłami wewnątrz lub buraczaną marmoladą.

Gorzej, że zawiódł kronikarza jeden z jego okolicznych przyjaciół, który obiecywał, że o nim, jedząc pączki, nie zapomni. Wziął obietnicę widocznie zbyt dosłownie, pączki zjadł, o kronikarzu wówczas myślał, że on się tam w Krakowie musi obejść smakiem, ale też i na tem się skończyło... A mógł, gdyby był chciał, ale brak mu bowiem składników, do sporządzenia pączków niecodziennych, jako agraryuszowi, z wyjątkiem chyba cukru, ale i o ten nie trudno. Mając podostatkiem różnego rodzaju artykułów spożywczych, może się łatwo drogą handlu zamiennego zaopatrzyć i w cukier.

Ale, powiada sobie z rezygnacyą kronikarz, że z powodu braku pączków jeszcze dotąd nikt nie umarł, przeciwnie, objedzenie się nimi niejednemu już ułatwiło „ewakuacyę“ na Rakowice.

I to go pociesza w myśl dziesiątego przykazania hygienicznego pana fizyka, które w danym przypadku brzmieć powinno: „Mimo braku pączków, nie upadaj na duchu“.

Jak zatem karnawału niema co żegnać, niema też powodu do witania „wielkiego postu“, gdy go mamy, jak rok długi, a jest dzięki wojnie, naprawdę „wielki“. I, jeżeli przezeń można odpokutować za swe grzechy, możemy śmiało spoglądać w przyszłe życie, gdzie czeka nas wiekuista szczęśliwość.

W każdym razie już choćby tylko dla zwyczaju, zaglądnął kronikarz do „Zoologii“ Nowickiego i z niej się przekonał, że śledź (*Clupea harengus, der Hering*) zaliczony tam jest do gromady ryb, gdy ludzie natomiast nie uważają go widocznie za rybę, lecz za jakiś jej surogat, nieraz się bowiem słyszy na pytanie: „Czy jadłeś dziś rybę?...“ odpowiedź: „Nie!... Ryby nie jadłem, tylko śledzia!“... *Ergo*, śledź nie jest rybą, a przynajmniej nie był nią wtedy, gdy sztuka kosztowała cztery centy, za szóstkę miało się garnirowanego cebulką lub ogórkiem, a za trzydzieści centów z takimi dodatkami, że na ich wspomnienie łzy się człowiekowi cisną do oczu... Dziś zmieniły się czasy, śledź awansował już dzięki wojnie na rybę, cena za sztukę dochodzi do .. pięćdziesięciu marek. Za te pieniądze miało się dawniej łososia, wszystko, co potrzebne do jego przyprawy i jeszcze zostało cokolwiek, by miał w czem pływać...

Tak było, gdy nie mieliśmy dostępu do morza, które jest właśnie ojczyzną śledzi. Mamy morze, ale śledzi nie mamy, zanim zaś „Pozapp“ zaopatrzyć nas w nie się zdecyduje, z pewnością w drodze się zaśmierdzą.

Musimy zatem zrezygnować we wielkim poście ze śledzi i obywać się bez nich, jak obywaliśmy się w karnawale bez pączków. Jeżeli zaś kronikarz o nich wspomina, to tylko dlatego, aby przypomnieć, że „dawniej ludzie w tym okresie żywili się śledziami, gdy natomiast obecnie stanowią one przysmak. spotykany jedynie na wielkopańskich stołach“... Historyk, który się kiedyś zajmie badaniem stosunków w naszych czasach, przeczytawszy ową wzmiankę kronikarską, będzie miał bardzo ułatwione zadanie.

Co wpłynęło na ten awans śledzi?... Odpowiedź na to: „Ich brak, będący następstwem bardzo racyonalnej gospodarki naszych władz centralnych“. A braków tych tyle, że sobie człowiek kompletnie nic już z tego nie robi, jeśli nie może się w coś zaopatrzyć, co mu się dawniej wydawało niezbędnem do życia. Macha z rezygnacyą ręką i mówi sobie: „Niema?... to się obejdzie!“ I tak powoli zaczynamy się obchodzić bez tego i owego, aż dojdziemy do tej perfekcyi, że staniemy się najszczęśliwszym na kuli ziemskiej narodem, umiejącym się obejść bez wszystkiego. To zaś będziemy mieć do zawdzięczenia tylko wojnie światowej, gdyby bowiem nie ona, nie bylibyśmy się nigdy dowiedzieli, że mamy tyle uzdolnienia do odgrywania roli artystów-głodomorów. Dr Tanner, Succi, nawet ś. p. Mac Swiney, który tamtych w kozi róg zapędził, w kąt przed pierwszym lepszym z pomiędzy nas.

Obżarstwo jest zresztą grzechem śmiertelnym i prócz tego, że szkodzi ciału, kala też i duszę. Poszcząc, zasłużymy sobie zatem na zbawienie wieczne, chronimy się też i od cierpień doczesnych, w guście niestrawności i jej podobnych. A i to ma swe dobre strony, jeżeli się zważy, że, zepsuwszy zdrowie, trzeba je też potem i starać się naprawić, a ta reparacya i zbyt wiele kosztuje i napotyka nieraz na nieprzezwyciężone wprost trudności.

I na tem polu brak wszystkiego, czego następstwem jest szalona drożyzna, bo, ostatecznie, jeżeli się ma pieniądze, wszystko się znajdzie w myśl słów Pisma świętego: „Szukajcie, a znajdziecie“...

Pokazuje się jednak, że w tym wypadku, dzięki wojnie, myli się nawet Pismo św. I nań wojna nie została bez wpływu... Przekonał się zaś o tem kronikarz sam na sobie.

Będąc od dziecka zdeklarowanym „Morrisonistą“... (obecnie może się już przyznać do tego, bez obawy, że za sympatyzowanie z Anglią mógłby się dostać na Montelupich...), od czasu do czasu, gdy mu cielesna powłoka, czyli ów futerał, w którym tkwi kronikarska dusza, zaczyna szwankować, ratunku szuka w pigułkach Morisona, będących dawniej uniwersalnym domowym środkiem leczniczym krakowskiego mieszczaństwa, można je też było nabywać nie tylko w aptekach, ale i w niektórych sklepach korzennych. Lekarze, których interesom szkodziły, rzucali na nie gromy, co jednak bynajmniej nie przeszkadzało, że, gdy sami, lub ktoś z rodziny zaniemógł, zabierali się do onych pigułek.

Kronikarz ma też do nich zaufanie, chciałby je znaleźć, szuka zatem, ale znaleźć nie może... Jak gdyby zapadły się w ziemię... drugi numer można jeszcze gdzieś wyżebrać, natomiast pierwszego nigdzie nie dostanie. Chcąc zaś przeprowadzić racyonalną kuracyę, trzeba oba numery zażywać naprzemian, od pierwszego zaczynając i na pierwszym kończąc.

Powie kto może, że kronikarz, skoro się chwali swymi stosunkami z Lloydem George'm, może doń napisać, a on z pewnością spełni jego życzenie... Tak, to prawda, Lloyd George nie odmówiłby przyjacielowi, ale on wychodzi z zasady: „Kochajmy się jak bracia, a rachujmy jak żydzi...“ — żąda za wszystko zapłaty i to w złocie lub cukrem albo naftą. A tu, jak na złość, złota kronikarz nie posiada, zamiast cukru słodzi sobie żywot i herbatę sacharyną, przydział nafty i świeczek jest zaś tak minimalny, że wystarczy zaledwie na pokrycie własnych potrzeb i rodziny, o zamiennym handlu niema więc ani mowy. Zresztą trzeba byłoby wdrożyć starania w drodze dyplomatycznej, a to z zasady zabiera zbyt wiele czasu i papieru, ten zaś jest i drogi i potrzebny, zwłaszcza temu, kto się zabiera do przeprowadzenia kuracyi Morisonowskiej.

Znalazłby się wprawdzie inny sposób wyjścia, kronikarz jednak nie chce go próbować, obawiając się, aby mu kto przy tej sposobności figla nie wypłatał. Nie ulega wątpliwości, że i pomiędzy czytelnikami „Nowości illustrowanych“ znajdzie się dość „Morisonistów“ i że niejeden z nich ma u siebie „pierwszy numer“, mógłby go zatem odstąpić, trzeba tylko z odpowiednim apelem zwrócić się do ogółu.

Niewątpliwie któreś z czułych serc poratowałoby kronikarza, nie jest jednak wyłączonem, że ktoś złośliwy, lub jakiś polityczny przeciwnik mógłby skorzystać ze sposobności i zabawić się...' w Hofrichtera. Ten były austryacki porucznik, chcąc się dostać do sztabu jeneralnego, choć nie aptekarz, wymyślił pigułki, które mu to miały ułatwić. Urządził się natomiast zupełnie po aptekarsku i pigułki jego wynalazku mieli łykać inni, jemu miały jedynie dobrze zrobić. Rozesłał je zatem wszystkim tym, którzy mu stali na drodze, zalecając, jako niezawodny środek „na odmłodnienie. Z pomiędzy obdarowanych niemi, jeden tylko kapitan Mader, był widocznie ciekawy czy pomogą, i zażył je, ale swoją ciekawość przypłacił życiem. Nazajutrz rano obudził się już nieboszczykiem... Hofrichter, dzięki swoim pigułkom, dostał się zamiast do sztabu jeneralnego do kryminału i to bez potrzeby usuwania przeszkód w sposób nadzwyczajny...

Otóż i w danym wypadku mogłoby zajść coś podobnego. Na apel kronikarza mógłby odpowiedzieć ktoś, przysyłając mu, zamiast pigułek Morisona, pigułki Hofrichtera, a on nie ma jeszcze ochoty pozbycia się swych dolegliwości w sposób tak radykalny. Chciałby się koniecznie doczekać ostatecznego uregulowania stosunków powojennych i przekonać się, czy się jego przewidywania sprawdzą, czy nie. Rad byłby dożyć bodaj tej chwili, kiedy dawna bułka dwucentowa będzie kosztować niechby nawet i markę, ale nie dziesięć, jak to jest obecnie. Ciekawy jest też, czy *Aida* wpadnie nareszcie na trop sprawców napadu na sklep Zahnów.

Z tych wszystkich, wyżej wyliczonych powodów rezygnuje zatem na razie z spełnienia swych marzeń, odkładając je na późniejsze czasy, co przecież nie przeszkadza w narzekaniu na fatalne stosunki i usposabia do nastrojenia kronikarskiej lutni na nutę „gorzkich żali“.

Wszystko zresztą idzie jak po grudzie. Po inne lata mieliśmy w tym czasie prawdziwie polską zimę, z mrozem, śniegiem i kuligami. lecz i z węgiem. Mróz dodawał ochoty do zabawy. Dziś mamy aurę prawie wiosenną i tańczymy, ale z zimna, gdyż węgli brak. Nie można nawet powiedzieć z całą stanowczością, czy pożegnaliśmy się już ze zimą, czy też ona o nas jeszcze nie zapomni, gdyż pogoda w dzień Matki Boskiej Gromnicznej była tego rodzaju, że ani rusz odgadnąć, czy niedźwiedź swą budę zburzył, czy ją też poprawił i ułożył się na dalszy ciąg snu zimowego. Co on zresztą robi sobie ze zimy, gdy ma na sobie futro, które go nic nie kosztuje... Na aprowizacyę też nie narzeka, gdyż tak daleko nie sięga zakres władzy ministerstwa żołądkowej amunicyi (czyli aprowizacyi..).

W dniu tym mieliśmy i mróz i błoto. Kto wracał rano z Reduty prasy, ten twierdzi, że już po zimie, kto wyszedł z domu dopiero w południe, jest zdania, że zima się przewiecze, z dachów bowiem kapało...

A całe w tem nieszczęście, że na Reducie prasy był widocznie i personal Inspektoratu węglowego i miejskiego Urzędu rozdziału węgli. Panowie ci wracali rano do domu, gdy był przymrozek i dlatego zgłaszających się o przydział odprawiają z kwitkiem (lecz nie na potór węgli), zapewniając solennie, że niedźwiedź budę już rozwalił i tylko czekać, jak nastaną upały. Po przydział na rok następny polecają się zgłosić... w maju.

Te wszystkie kłopoty i zmartwienia, jakie się stały naszym udziałem, jako „dobroczynne następstwa wojny światowej“, ułatwiały kronikarzowi wybrnięcie z trudnego położenia, w jakiem się znalazł, mając pisać pierwszą kronikę wielkopostną, podczas gdy wokół wre huczna zabawa, perli się szampan, a muzyka rżnie od ucha. Obowiązek to rzecz święta, a chyba trudno w tak poważnym czasie zbyt się weselić. Posypmy zatem głowy popiołem (kto go naturalnie ma, bo i o popiół dziś trudno!...) i rozpocznijmy dalszy ciąg pokuty, a będzie nam to z pewnością kiedyś policzone...

TADEUSZ KANNENBERG.

RENDES-VOUS.

I.

Stanisław pozostał sam na ganku, gdyż Zosia nagle go odbiegła.

Był to ich ostatni wieczór.

Znali się od dzieci. Zosia skończyła pensyę i teraz zostaje na wsi – Stanisław skończył gimnazyum i jedzie na uniwersytet.

Z bawialnego pokoju dolecialy tony mazurka chopinowskiego. Stanisław zerwał się i wpadł do bawialni.

– Zosieńko!

Zerwała się i rzuciła w otwarte ramiona swego Stacha.

Stali naprzeciw okna, przez które okrągła twarz księżyca śmiała się do nich, ale jakoś tak niedyskretnie, że Zosia szybko zawołała: chodźmy stąd, jeszcze nas kto zobaczy!

– Będziesz moją Zosieńko?

– Będę Stasieńku!

Księżyc się śmiał.

– Już czas na mnie! Do widzenia na święta!

II.

– Cóż u dyaska! myślał Stanisław, jadąc wózkiem na kolej. – Czy ten wieczór księżycowy? czy pożegnanie? czy może to pierwszy pocałunek? Ale coś mi jest!

I rzeczywiście popadł w dziwny stan zjawy. Raz po raz widział obraz Zosi, czuł jej obecność, w uszach jej głos. Intenzywność tych wrażeń wzrastała z minuty na minutę pod wpływem samotności i monotonnej jazdy nocą przez głęboki las.

Powoli wrażenia słuchowe i myślowe zaczęły słabnąć kosztem coraz to wzmagających się odczuć obrazowych. Coś go zniewalało zamknąć oczy, a wówczas niemal dotykalnie widział swą Zosieńkę w różnych chwilach jej codziennych zajęć.

Wreszcie i te obrazy zmieniły swą barwę, wkraczając w świat fantazyi.

– Mam gorączkę – leniwo myślał, usuwając się w głąb siedzenia. Ujrzał Zosię, jak się do snu układa a – wyciągnął do niej ramiona...

– Paniczu, bo stacya – trza wysiadać!

III.

Godzina 12 ta w nocy. Pociąg zbliżał się do stacyi.

W ostatnim wagonie jechała samotna, młoda kobieta. Zdenerwowanie jej dochodziło do obłędnych niemal granic z przyczyny, zdawałoby się, nader błahej. Oto ostatni wagon był za luźnie skuplowany z resztą wozów tak, że w ruchu chwiał się i szarpał niemiłosiernie. A gdy się zważy, że linia kolejowa należała do bocznych i zbudowana była z krótkich dawnego typu szyn, łatwo pojąć, że wóz mógł urządzać podróżnym wcale miłą „piekielną jazdę"!

Pani Helena była pewną, że do stolicy nie dojedzie. Chciała usnąć – nie mogła; modliła się – nie pomagało; przechadzała się – na nic; płakała – jeszcze gorzej. Wreszcie przypomniała sobie, że wiezie mężowi flaszeczkę starego tokaju z piwnicy ojca. Otwarła ją i sącząc po kropelce, doszła do stanu, w którym sobie rzekła: Wszystko mi jedno! Niezbyt jednak silne okazało się to postanowienie, skoro nowe szarpnięcie wagonu wjeżdżającego na stacyę, wytrąciło ją z powrotem z równowagi.

Pociąg stanął. Stanisław wszedł do wagonu. Radość pani Heleny nie miała granic. Wszak od dwóch godzin modliła się o jakiegokolwiek pasażera.

– Nie przeszkadzam?

– Ależ skądże? Owszem jest mi tak miło, że nawet nie umiem panu tego wyrazić...

Zaraz jednak przestraszyła się, czy nie powiedziała za wiele. Zasłoniła twarz gęstą woalką podróżną, czując, że krew napływa jej do głowy.

– Proszę przyćmić światło.

Nie uszło jej uwagi, że pasażer był młody i przystojny.

Stanisława ogarnęło pewne zażenowanie. Nie wiedział poprostu jak się zachować. Wybawiła go jednak z kłopotu pani Helena, która chcąc zagluszyć zdenerwanie, zaczęła bezładnie opowiadać skąd i dokąd jedzie.

– Więc zdążamy do jednego celu?

– Tak. Na miejscu będziemy w pół do piątej rano.

– Jeszcze ciemno?

– Ach wszystko mi jedno, byle się tylko ta jazda raz skończyła!

Rozmowa jednak, jak szybko się zaczęła, tak też i nagle urwała. Zmęczenie fizyczne ogarnęło oboje.

Pociąg dudniąc, wjechał na sploty szyn stacyjnych i nie zatrzymując się, pogonił dalej.

– Trzęsie trochę – półgłosem zamruczał Stanisław – przesiądę się.

– Nie, nie! Niech pan nie wstaje! Siadła obok. Przy najbliższem wstrząśnieniu wagonu chwyciła go za rękę. Czuł, że ręka drżała i że cała jej postać tuli się do niego. Nie śmiał się ruszyć. Siedział cicho. Chciał zdrzemnąć. Po chwili uczuł, że głowa kobiety schyliła się na jego ramię i usnęła. Stanisław zdrzemnął się też.

W drzemce zdawało mu się, że siedzi na ganku z Zosieńką i patrzy w księżyc. Otulił ją ramieniem i przycisnął mocno.

– Stasieńku, pocałuj Zosieńkę.

Stanisław nachylił się i zaczął całować uko chaną twarzyczkę. Nagle oprzytomniał i spostrzegł, że wycałował obcą kobietę, którą uśpioną trzymał w objęciach. Nie zmienił jednak pozycyi. Zamknął oczy i marzył dalej...

Wenecya – jadą gondolą po kanale Grande, patrzą na stare pałace, niebo lazurowe i mętną wodę kanału. Wtem gondola wjeżdża na schody kościoła. Silne uderzenie. Wylatują w wodę. – To pociąg stanął.

Stanisław siedział na podłodze wagonu, oburącz trzymając śpiącą towarzyszkę podróży. Nieprzytomny zerwał się, chwycił ją w pół i okrywając pocałunkami, krzyczał: Więc żyjesz, żyjesz Zosieńko!

Helena ocknęła się, oprzytomniał i Stanisław. Stanęli naprzeciw siebie jak dwaj winowajcy. Pierwsza Helena zaśmiała się.

– To już jesteśmy na miejscu. Trzy godziny jazdy przespałam wyłącznie tylko dzięki panu. Dziękuję serdecznie.

– Czy mogę służyć?

– O nie – nie – nie trzeba! proszę zostawić mnie samą. Czekają na mnie. Jeszcze raz jak najserdeczniej dziękuję. Nie jestem w stanie wyrazić panu wdzięczności, jaką czuję dla pana.

– Czy mogę odwiedzić panią?

– Skądże? Chociaż nie, dobrze! Aleja 3 go Maja 6 1 piętro na lewo imię Zosia, nazwiska nie powiem, dziś wieczorem... i znikła.

Zosiu, Zosieńko! Stanisław jeszcze nie oprzytomniał należycie...

– Panie, bo pociąg dalej nie idzie.

Stanisław wyskoczył na peron.

IV.

„Moja droga Zocho! Piszę do Ciebie, bo inaczej nie mogę. Nad ranem przyjechałam. Mąż nie chce mnie puścić. Jestem zmęczona i okrutnie zdenerwowana. Ach, bo pomyśl sobie tylko, pomyśl moja droga. Pociąg omal się nie wykoleił i ja też! A było to tak...

Widzisz więc sama, że nie mogłam inaczej. Nie wolno człowiekowi robić przykrości, skoro na nią nie zasłużył. To trudno. Zresztą ty tak lubisz szatynów! Jesteś młodą wdową i jutro rano stąd wyjeżdżasz na zabitą deskami wieś. No nie? Zatem przyjmiesz go, nieprawdaż? Tylko, na miły Bóg, nic przed moim mężem, moja droga, jedyna".

P. S. Nazwiska Twego nie wymieniłam, więc zdejm z drzwi wizytówkę.

„Droga Helenko! List Twój w wysokim stopniu mnie rozgniewał. Wobec tego nie przyjdę pożegnać się z Tobą. Przyjmę go zimno jak na to zasługuje. Nie rób mi nigdy więcej podobnej przykrości. Bądź zdrowa. Napiszę dopiero ze wsi. Twoja Zocha".

V.

– Proszę pani, jakiś młody pan przyszedł.

– Prosić.

– ...Pani!

– Cóż tak oficjalnie. Wczoraj...

– Ach nie mówmy! Wstydzę się i dlatego pozwoliłem sobie przyjść by serdecznie panią przeprosić. Byłem nieprzytomny.

– Teraz ja powiem: nie mówmy o tem! Tak będzie najlepiej. Ale pan czegoś – zdaje mi się być zdziwiony?

– Głos pani?

– To.. z wczorajszej podróży. Pan się rumieni?

– Bo mi się jeszcze nigdy w życiu coś podobnego nie zdarzyło.

– Doprawdy?

– Proszę mi wierzyć mama moja...

– Ha! ha! ha! Więc mamin synek?

– Pani śmieje się ze mnie!

– Już dobrze. Przejdźmy do jadalni. Jutro wyjeżdżam prawdopodobnie na bardzo długo. Nie chciałabym ostatniego wieczoru spędzić sama. Więc przyszło mi na myśl zaprosić pana. Z nieznajomym tak się miło gawędzi.

– Ja już nie jestem nieznajomym pani.

– W każdym razie nie jest pan z tego świata, w którym ja żyję, a jutro będziemy oboje już tak daleko od siebie.!

– Więc dziś należy do nas.

– Tak. Czego pan nie pije? Proszę brać przykład ze mnie. To szampan!

– Nigdy nie piłem. Głowa mi się kręci...

– O! biedusia! Jak panu na imię?

– Stanisław!

– Biedny Stasieńko... Co panu?

– Nic, nic... już przeszło. Tak do mnie mówiła...

Któż taki?

– Moja...

– No, no?

– Moja Zosieńka!

– Ślicznie! Ja też się tak nazywam. Więc Stasieńku, napij się jeszcze. Zmruż oczęta, a Zosieńka będzie ci opowiadała, jak to tam tęskni za tobą.

– Jaka pani dobra!

– ...Nie dobry jesteś Stasieńku – zostawiłeś Zosienkę samą daleką od ciebie. Dzień przeszedł mi jeszcze jako tako. Rano podlewałam kwiatki, byłam w ogrodzie na spacerze, czytałam książkę, którąś mi zostawił, grałam walca...

– Mazurki Chopina!

– Tak, mazurki. O! i dzień przeszedł. Lecz teraz, gdy noc się zbliża czuję się strasznie samotna. Z łezką w oku rozplatam warkocze... zrzucam sukienkę... spódniczkę... zdejmuję pantofelki... potem... pończoszki...

– Co pani robi?

– Pójdź Stasieńku!...

VI.

Chwiejnym krokiem, pogwizdując, szedł Stanisław przez ulice miasta. Była godzina druga w nocy. Księżyc się śmiał.

Czegóż ty się śmiejesz? Musiałem, nie było innej rady. Nie wiedziałem, że to tak...

VII.

Nazajutrz Stanisław był w rozpaczy. Wyrzuty sumienia gnębiły go bez przerwy. Dokąd się zwrócić – kogo poradzić. Przypomniał sobie, że ma tu stryja, którego od kilku lat nie widział. Nie zna wprawdzie stryjenki, gdyż stryj ożenił się ubiegłego roku, ale to nic nie znaczy. Trzeba coś począć, coś radzić.

Zapukał do mieszkania – była tylko stryjenka.

– Miło mi powitać cię kuzynku – rzekła pani Helena, wychodząc na przywitanie Stanisława. – Mąż mój dużo dobrego o panu mi opowiadał.

– Stryjenka?

– Cóż kuzynek tak mi się przypatruje?

– Bo... bo nie wiem. Stryjenko poradź! Od dwu dni coś się ze mną dzieje strasznego!

– No cóż – siadaj – mów słucham.

– To było tak...

Pani Helena z poważną minką słuchała szczegółowych relacyi zrozpaczonego młodzieńca. Gdy skończył rzekła:

– Przedewszystkiem dziękuję ci za zaufanie. Dobrześ zrobił, żeś mi się szczerze wyspowiadał, chociaż widzisz mnie po raz pierwszy w życiu.

– Tak! Lecz stryjenka, to zawsze stryjenka!

– Masz racyę – pocałowała go w czoło.

– Dam ci dobrą radę. Siadaj przy biurku i pisz:

„Najdroższa Zosieńko! Tęsknię za Tobą. Ciągle tylko o Tobie myślę. I teraz dopiero widzę, że bez ciebie żyć nie mogę. Do ciebie tylko należę i należeć będę na zawsze. Poza Tobą nie ma dla mnie na całym świecie żadnej kobiety. Jestem ci wierny myślą, słowem i uczynkiem"...

– Ależ to nieprawda! tego nie napiszę!

Z kroniki karnawałowej

Karnawał należy już do przeszłości. Był wprawdzie krótki, ale tak huczny, jak nigdy dotąd. Nawet przed wojną nie pamiętamy roku, aby prawie żaden dzień w tygodniu nie mógł się obejść bez jakiejś publicznej zabawy. Być może, w wirze tańca, przy głosie zawrotnej muzyki i strzałach korków szampanowych starano się szukać zapomnienia o kłopotach i zmartwieniach, mnożących się z dniem każdym.

W tej prawdziwej powodzi balowo-redutowo-rautowo piknikowej, której jedynym celem, aby „powiodły się finansowo“, a mniejsza o to, kto da na to pieniądze, większość zabaw była tego rodzaju, że można nad niemi przejść do porządku dziennego zupełnie obojętnie, jeżli nawet nie z uczuciem niesmaku, nie brakło jednak i takich, które odpowiadały najzupełniej zadaniu.

Do ich rzędu należą bezsprzecznie „Dożynki“, urządzone staraniem VI. Koła T. S. L. w dniu 6 lutego w salach Kasyna wojskowego. Śmiało rzec można, że było to ukoronowanie tegorocznego karnawału. Zabawa o typie staropolskim, swojskim, zostawiająca w sercu każdego z uczestników miłe wspomnienie na długi okres czasu.

Sala Kasyna wojskowego zmieniła zupełnie swój normalny wygląd. Zahuczało i zaroiło się od bajecznie kolorowych ubrań, wstążek, pawich piór, sukman i kierezyj naszych Krakowiaków i Krakowianek, którzy wnieśli na zabawę rozmach, werwę i życie swym tańcem i śpiewem. Wspaniały wieniec dożynkowy z Mnikowa złożyły przodownice pp. Latinikówna i Symonówna, gospodarzowi p. jen. Stillerowi, poczem Krakowiacy odśpiewali szereg piosenek dożynkowych i aktualnych, napisanych przez p. A. Jordaens. Na „Dożynkach“ był obecny „cały Kraków“, przybyli między innymi pp. poseł Tabaczyński, wicepr. Rolle, jen. Symon i Stiller, konsulowie węgierski i czeski, przedstawiciele prasy i w. i. Przybyłych na „Dożynki“ Górnoślązaków witano nadzwyczaj serdecznie a po odśpiewaniu do nich przyśpiewki przez jednego z Krakowiaków:

Witamy Ślązaków
Dziś z serca całego,
Niema dla nas Polski
Bez Śląska Górnego —

zgotowano im gorącą owacyę. Nastąpiło przyjęcie dla Ślązaków, podczas którego wygłoszono szereg mów. Przemawiali: wicepr. Rolle, pos. Tabaczyński, prof. Gruszecki. Zabawa osiągnęła doskonały sukces, a „Dożynki“ zapiszą się na długo w pamięci uczestników.

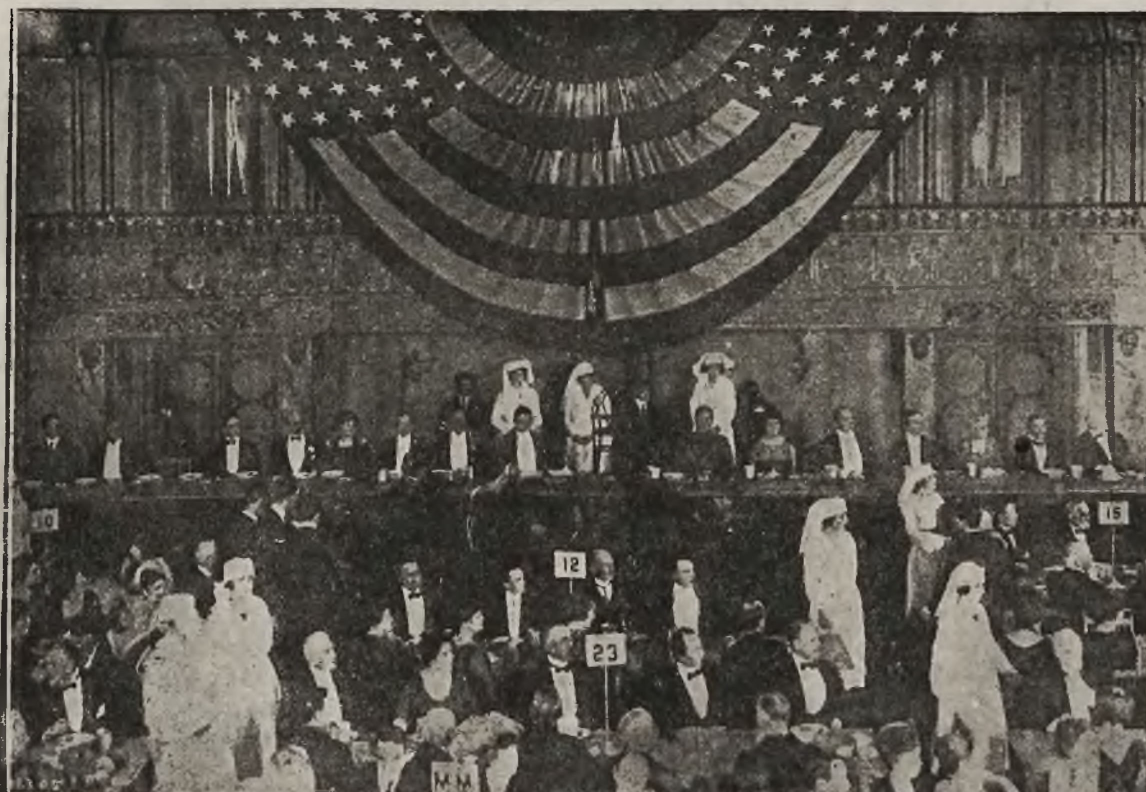
Najbardziej się podobały i były oklaskiwane następujące zwrotki:

Nie boim się pana,
Ani kapłana,
Gdy pszeniczką, żytkiem,
Stodółka napchana.

Posłowie, posłowie,
Radzicie nad nami,
Najlepiej też dzisiaj,
W Polsce być chłopkami.

Panie prezydencie,
Gdy mąki nie mamy
Drugi raz „Dożynki“
W innym wyprawiamy.

W całym świecie słynie
Sława Naczelnika,
Co dobrze przepędził
Z kraju bolszewika.

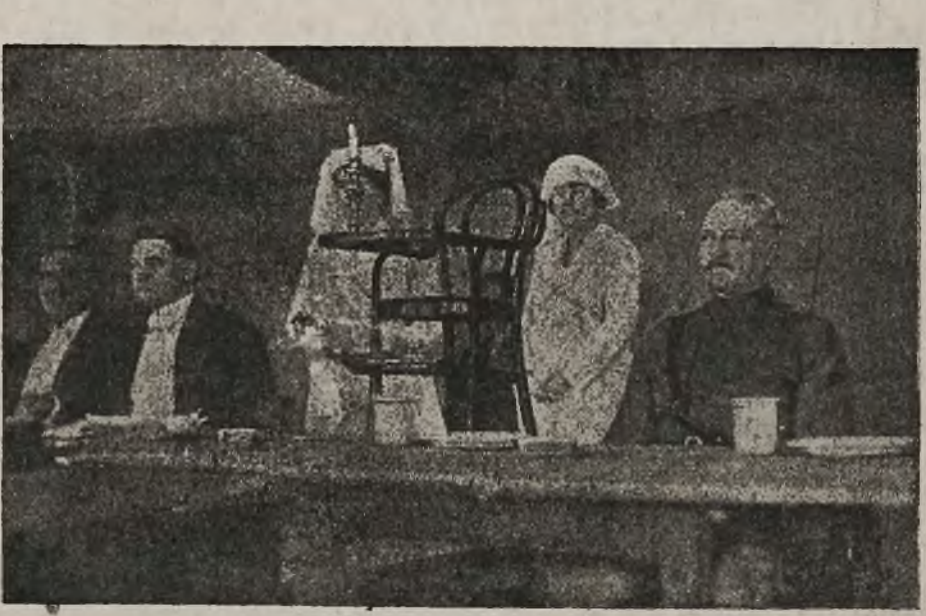


Ameryka dla głodnych dzieci: Wnętrze sali hotelu „Commodore“ w Nowym Jorku podczas tysiąc-dolarowej uczty na rzecz głodnych dzieci Europy.



Z kroniki karnawałowej: Grupa Krakowiaków i Krakowianek z „Dożynków“ odbytych w dniu 6 lutego b. r. w sali krakowskiego Kasyna wojskowego podczas składania wieńca dożynkowego gospodarzowi, jenerałowi Stillerowi.

Wodza Latinika
Przecież w Polsce mamy,
Nie boim się zatem,
Że Śląsk postradamy.



Ameryka dla głodnych dzieci Europy: Inicyatorowie tysiąc-dolarowej uczty w Nowym Jorku Herbert Hoover i jenerał Pershing podczas spożywania posiłku. Między nimi krzesło dziecięce mające symbolicznie przedstawiać tych, na rzecz których przeznaczono dochód.

Ameryka dla głodnych dzieci Europy.

Jedna z głównych trosk wybitnych osobistości Stanów Zjednoczonych jest pospieszenie z pomocą cierpiącym głód i niedostatek dzieciom Europy środkowej i wschodniej. Akcyę w tym kierunku rozwinięto bardzo ożywioną.

W Warszawie bawił dyrektor amerykańskiego wydziału ratunkowego na Europę *p. Browne*. Celem jego akcyi jest niesienie pomocy dzieciom w Polsce.

P. Browne przywiózł radosną wiadomość o powodzeniu akcyi *p. Herberta Hoovera*, podjętej w Ameryce. Wysokość sumy przezeń zebranej na akcyę ratunkową dla dzieci w Europie nie jest dokładnie wiadoma, przewyższa jednak już 23 miliony dolarów.

Jak z oświadczenia p. Browne wynika, a doświadczenie uczy, społeczeństwo amerykańskie w zupełnie inny sposób popiera cele humanitarne i dobroczynne niż nasze. Tam zbiera się miliony, nasze bale na cele dobroczynne zamykają swe rachunki zwykle „okrągłemi zerami", jeśli nie deficytem.

Inicyatorami amerykańskiej akcyi ratunkowej dla 350 tysięcy cierpiących nędzę dzieci Europy są Herbert Hoover, jenerał Pershing i Frank K. Dane.

Jednym z głównych punktów programu było wydanie w hotelu *„Commodore"* w Nowym Yorku obiadu za opłatą po tysiąc dolarów od osoby. Obiad ten składał się z ryżu ugotowanego na wodzie, małej porcyjki mięsa wołowego, kawałka chleba i kakao. Podawano go w prymitywnych cynowych naczyniach na stołach zupełnie nie nakrytych. Koszta przyrządzenia wynosiły około 92 amerykańskie centy od osoby. Społeczeństwo amerykańskie pospieszyło tłumnie na tę tak niezwykłą ucztę, nie żałowano też nadddatków, tak że to przedsięwzięcie przyniosło 2 miliony przeszło dolarów. Wedle zapewnienia Hoovera suma ta wystarczy na zabezpieczenie 201 tysięcy dzieci, aż do czasu najbliższych żniw.

Dziewięćset siedemdziesięciu bogaczy nowojorskich zasiadło za prostymi stołami w spaniałym hotelu „Commodore", by za ryż w drewnianych garnuszkach i kakao w blaszanych kubkach, a więc za specyały, któremi się ratuje od śmierci głodowej małych Polaków zapłacić każdy po — tysiąc dolarów.

Przezydował za stołem sam Hoover. Obok niego nakryto paradnie jedno tylko symboliczne miejsce, przy którem stało wysokie dziecinne krzesło. Patrząc na tego swojego nieobecnego sąsiada, musiał uśmiechać się Hoover tak samo, jak wtedy, kiedy rozmawiał z dziećmi polskiemi.

Pruskie fałszerstwa plebiscytowe.

W miarę, jak zbliża się ostateczny termin plebiscytu na Górnym Śląsku, wysilają się *furror teutonicus* w wynajdywaniu środków, które mogłyby Niemcy uchronić od niego. Dowód to najlepszy, że się go obawiają, że zatem sprawa Śląska Górnego nie przedstawia się w rzeczywistości w tem świetle, jakie nań starają się rzucić.

Wychodząc z niecytycznej zasady, że cel oświeca środki, chwytają się też wszelkich możliwych i niemożliwych fałszerstw i oszustw, aby tylko postawić na swojem, to jest, aby kraj ten zatrzymać w swych rękach.

A że właśnie w państwie „bojaźni Bożej i dobrych obyczajów" nigdy nie cofano się przed popełnieniem największego łajdactwa, o ile tylko miało to doprowadzić do osiągnięcia celu, nikogo też nie dziwi, że dziś w tak dla Niemiec ważnej chwili, walczy się tą bronią i to coraz zapalczywiej i energiczniej.

W walce tej biorą udział najszersze sfery z niemieckiego społeczeństwa, częściowo z przekonania, częściowo dla zarobku, gdyż Berlin pieniędzy nie żałuje. Nawet ludzie nauki nie pozostaje w tyle, dorzucając swą cegiełkę do ogólnej budowy. Jest nią zaś tak popularne u Niemców fałszowanie dokumentów historycznych, w czem byli i są dotąd mistrzami.

Świadectwem tego jest załączona do artykułu mapka, przedstawiająca według urzędowych źródeł niemieckich rozsiedlenie ludności polskiej na terenie plebiscytowym. Pochodzi z czasów przedwojennych, gdy o możebności utraty Śląska nikt nawet nie myślał.

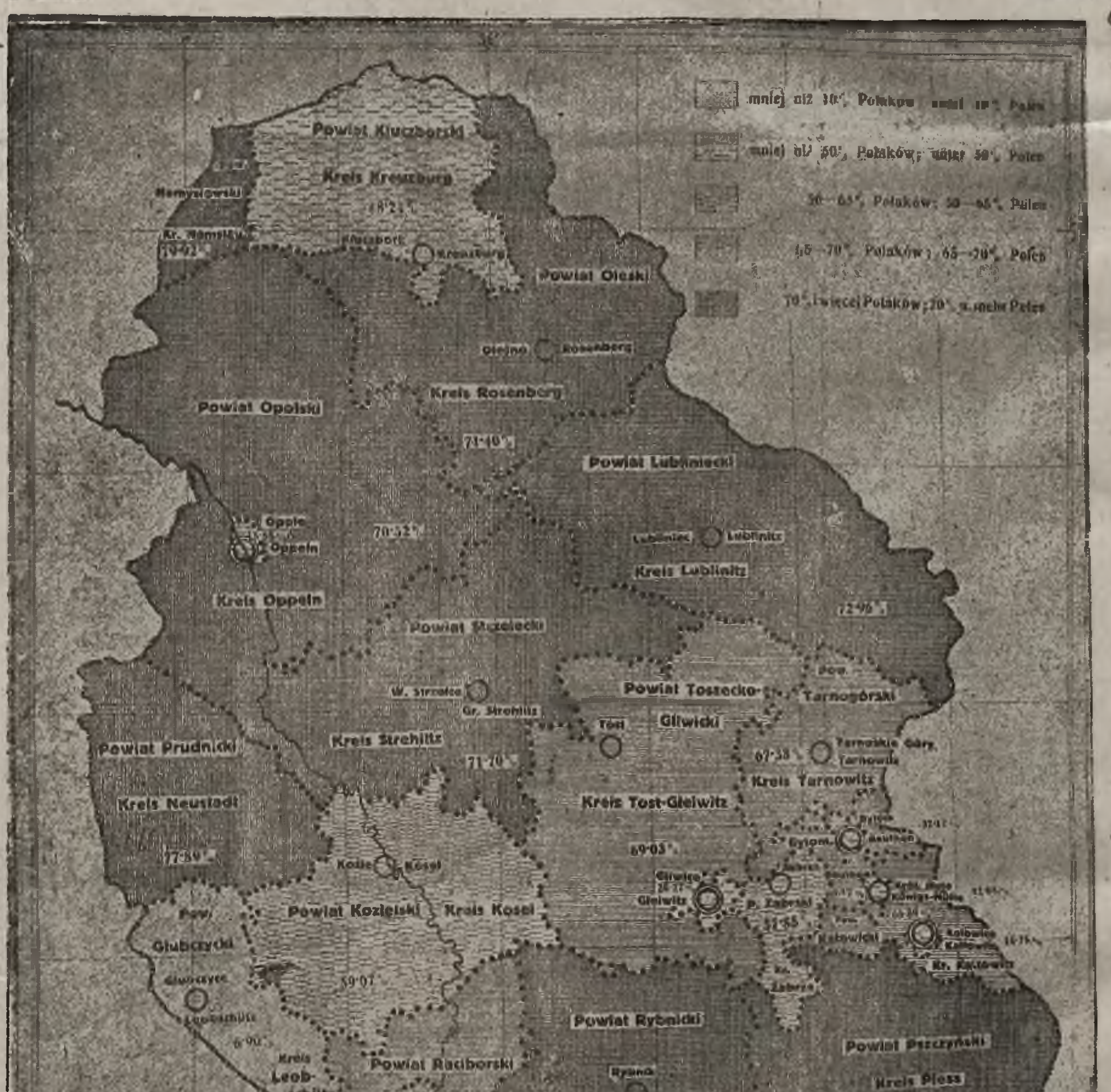
Druga wydana została w ostatnich czasach, aby naocznić, jaki jest wzajemny stosunek obu ludności, to jest polskiej tubylczej i napływowej niemieckiej kraj ten zamieszkujących.

Jeżeli obie te mapki porównamy ze sobą, przekonamy się, ku ogromnemu swemu zadowoleniu, że stosunek między ludnością polską i niemiecką w ciągu lat zaledwie kilku, zmienił się gwałtownie i to na niekorzyść tej pierwszej, choć Niemcy drwili stale z Polaków, że się zbyt szybko mnożą.

Mapka podobna, sporządzona przez człowieka nauki, powinna być dokumentem. Nie jest nim już, gdyż opiera się na datach urzędowych, a te wielu Polaków z różnych powodów zaliczały do narodowości niemieckiej. Tembardziej też, uderza w oczy to obecne nagłe zmniejszenie się w tych okolicach procentu Polaków i mimowoli narzuca się pytanie, gdzie szukać przyczyny tej tak dziwnej zmiany.

Odpowiedź na to nie trudna. Wydając pierwszą w r. 1914 chcieli się Niemcy wytłómaczyć przed światem, dlaczego wobec Polaków stosują tak drakońskie represye, trzeba więc było przedstawić nanaocznie naukowo i na podstawie „źródeł" urzędowych, że polski żywioł zbyt się tam rozwielm i nie zagraża niemieckości, że jest zatem wskazane stosowanie różnego rodzaju ustaw kagańcowych itp.

Ale oto sytuacya się zmieniła. Z wojny wyszły Niemcy z pod iętemi skrzydłami, grozi im utrata Górnego Śląska... Cóż zatem łatwiejszego, jak odwrócić kota do góry ogonem i dowieść światu, że tam, gdzie przed laty niespełna siedmiu polski żywioł tak groźnym był dla Niemców, dziś jakgdyby



Pruskie fałszerstwa plebiscytowe: Mapa terenu plebiscytowego, opracowana przez Niemców przed wojną, a przedstawiająca groźny rozrost ludności polskiej na Górnym Śląsku.

za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, Polaków jest albo bardzo mało, albo ich zupełny brak.

Cel uświęca środki, a jednym z takich środków ratowania Górnego Śląska dla Niemiec, jest urzędowe przedstawienie, że mocarstwa koalicyjne pomyliły się wyznaczając plebiscyt w okolicach zamieszkałych przez ludność rdzennie niemiecką.

Ludność polska mająca wziąć udział w plebiscycie, jest zatem powołaną do tego, aby wynikiem głosowania zadać kłam niemieckim fałszerzom dokumentów, tym razem etnograficznych.

Dwaj inni bandyci rzucili się natomiast w sypialni na p. Lizermanową jeden chwycił ją za gardło, drugi zaś bił po głowie tępem jakiemś narzędziem tak długo dopóki nieszczęśliwa ofiara, tarzając się w kałuży krwi, straciła przytomność.

Nieprzytomnej wyciągnęli zbrodniarze z kieszeni klucz od szafy, z której zabrali drogocenną biżuteryę, gotówkę w kwocie 1600 Mk, książeczkę Kasy oszczędności, opiewającą na nazwisko Róży Dampf, tudzież klucz od kasy wertheimowskiej. Z kasy skradli bandyci gotówkę około 19 000 Mk.

Po gruntownem przeszukaniu całego mieszkania,



Przed lwowskim Sądem doraźnym: Jung, Fedorak i Tatarzyński sprawcy napadu rabunkowego na bł. p. Lizermannową.

Przed lwowskim Sądem doraźnym.

W ostatnich czasach rozpatrywał lwowski Sąd doraźny dwie senzacyjne sprawy o morderstwa rabunkowe.

Pierwsza z nich datuje się jeszcze z grudnia u. r. W dniu 15 tego miesiąca popełniono morderstwo na zamieszkałej przy ul. G..ańskiej śp. Wernerowej. Dzięki energicznemu i mozolnemu śledztwu udało się lwowskiej policyi ustalić, że morderczyniami były Amalia i jej córka Malwina Burskie, sąsiadki Wernerowej.

Krytycznego dnia Wernerowa poprosiła Malwinę, o zapalenie jej w piecu, ponieważ czuła się chorą. Położywszy się do łóżka, oświadczyła Wernerowa, że w testamencie zostawi kosztowności zakonowi Franciszkanów.

Malwina powzięła w tej chwili zbrodniczy zamiar. Zawołała matkę i siekierą ugodziła leżącą staruszkę w głowę, poczem zatkała jej usta ręką, by umierająca nie charczała. Matka dobiła ofiarę.

Zabrane kosztowności obie ukryły na strychu, rzeczy zaś wywiozły do swej krewniaczki w Lechówce.

Burska jest wdową po stolarzu, córka jej zajęta była w aptece jako pomocnica.

Morderczynie zdradziły się sprzecznemi zeznaniami. Przyparta do muru Malwina rzuciła się do nóg r. Łukomskiemu, który dochodzenia prowadził i zeznała szczegółowo, w jaki sposób dokonała zbrodni. Z pod bali w piwnicy dobyła skrwawioną jeszcze siekierę, ze strychu zaś ukryte kosztowności zmarłej.

W końcu stycznia stanęły obie morderczynie przed Sądem doraźnym. Malwina przyznała się ze skruchą do spełnionej zbrodni, matka wypierała się współudziału.

Po przeprowadzonej rozprawie wydał Sąd doraźny pod przewodnictwem sędziego Niewiadomskiego, wyrok, skazujący obie morderczynie na karę śmierci. Skazane podano do łaski Naczelnika Państwa, z powodu jednak jego nieobecności wykonanie wyroku wstrzymano na razie na zarządzenie ministra sprawiedliwości.

Przedmiotem drugiej rozprawy był napad rabunkowy.

W dniu 15 stycznia o godzinie 10 w nocy, weszli do mieszkania 60 letniej Fanny Lizermanowej, bogatej, bezdzietnej, wdowy, mieszkającej w domu przy ulicy Łyczakowskiej l. 165, trzej przyzwoicie ubrani mężczyźni. Po krótkiej naradzie w przedpokoju wszedł jeden z nich do kuchni, dwaj inni zaś do sypialni p. Lizermanowej. — Mężczyzna który wszedł do kuchni, wyciągnął natychmiast z kieszeni rewolwer i zagroził służącym Annie Szaradowskiej i Róży Dampf natychmiastową śmiercią, jeżeli odważyłyby się wołać o pomoc lub chociażby głośniejsze wypowiedzieć słowo.

składającego się z trzech wykwintnie urządzonych pokoi, udali się bandyci do kuchni, gdzie służącym nakazali, by przez pół godziny jeszcze z kuchni nie wychodziły i cicho się zachowywały — gdyż stać będą pod drzwiami i w razie najmniejszego krzyku obie zastrzelą.

Następnie wyszli spokojnie z mieszkania, zadzwonili na stróża, dali mu 20 Mk i wyszli na ulicę.

Tej samej nocy jeszcze wdrożyła policya dochodzenia za sprawcami ohydnego mordu uwieńczone rychło pomyślnym wynikiem. Organom władzy bezpieczeństwa dostali się w ręce wszyscy trzej napastnicy w osobach: Fedoruka, Tatarzyńskiego i Junga.

Sąd doraźny skazał wszystkich trzech bandytów na karę śmierci. Skazani odwołali się do łaski Naczelnika Państwa. Prośba ich pozostała bez skutku, wyrok śmierci wykonano tego samego dnia na osobach Fedoruka i Junga, jedynie Tatarzyńskiemu, jako nie pełnoletniemu, karę śmierci zmieniono na dożywotne ciężkie więzienie.

Energia lwowskiej policyi i surowość Sądu doraźnego wywołały popłoch między lwowskimi bandytami, którzy uważając Lwów za niewdzięczne pole dla swej działalności, przeniosą się zapewne „na gościnne występy“ tam, gdzie władza bezpieczeństwa nie może się poszczycić takiem szczęściem w tropieniu i ujmowaniu bandytów.

Dokończenie nowelki „Rendez-vous“, ze strony 8.

— Nie? więc bierz drugą ćwiartkę i pisz: „Panno Zofio! Teraz dopiero widzę, że uległem złudzeniu. Nie kocham Pani prawdziwie. Wystarczyło, żebym w pociągu spotkał samotną kobietę, by ją wycałować. Nie dość na tem, wieczór spędziłem u niej... Nie wolno mi już Ciebie kochać. Żegnaj na zawsze...!

— Ależ to nieprawda!

— Bierz więc inną ćwiartkę:

„Droga pani Zofio! Wczorajszy wieczór złączył nas na zawsze. Losy nasze tak zrządziły, byśmy się naprzód złączyli, a potem pokochali! Czekam decyzyi twej Pani, wdzięczny, żeś ze mnie uczyniła mężczyznę, który wie, co mu honor nakazuje“...

— Nie, nie! Nie chcę tak. To nie prawda!

— Więc nie pisz nic!

— Stryjenko?

— Radzę ci kuzynku drogi, weź te trzy listy i namyśl się. W każdym zaś razie przyjdź do mnie niedługo i przychodź często, jak najczęściej, a ja ci zawsze dobrze poradzę!

VIII.

Długich kilka godzin wałęsał się Stanisław po mieście ze spuszczoną głową, ważąc co robić. Czuł wielką odpowiedzialność kroku, na jaki ma się teraz zdobyć. Przyszłość, ba — życie całe — zależało od chwili!

— Wreszcie postanowił... i jeden z listów wrzucił do skrzynki pocztowej.

KONIEC.

Rozwiązanie zagadek z Nru 5.

Zgłoskówka: Szczęśliwego Nowego Roku.

Zadanie literackie: Zemsta, Irydyon, Mohort, Anhelli

Łamigłówka literacka:

„...atrzą, a tu przez rzekę leży most kosmaty,
Pas ze skóry niedźwiedziej, porrzniętej na szmaty...“

(A. Mickiewicz: „Pan Tadeusz“).

Rebus: Miłość bez grosza, spacer w niewę, długo nie potrwają.

Logogryf: R San, Kazań, Mek a, Brody, kozak, glina Kreta, .. śna, koma.., Olimp, kreda, era, é

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Brandys, Kraków, M. Ogińska Nowy Sącz, A. Dębiński Jasło, H. Kamocka Stanisławów, W. ..itowska Warszawa, J. Nowak Sandomierz, J. Opolski Łódź, S. Piekarski Poznań, M. Wysocka Jasło, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, M. Antosz Lwów, J. Martynowicz Kielce, J. Jagodziński Nowy Sącz, J. ..alski Poznań, R. Cielicka Łódź, J. Polek Lwów, S. Nowack Lwów, M. ..oźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. ..alinowski Poznań, A. Dębicki Sambor, .. Lipski Wiedeń, M. Mańkowska Warszawa, A. Wacławik Łódź, S. Balicki Radom, W. ..naczyński Kraków, K. Borkowski Kraków, W. Szleszek Lublin, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Gross Tarnów, J. Martynowicz Lwów, H. Gańska Tarnów, W. Rozwadowski Poznań, M. Wacyk Lwów, M. Więckowski Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, K. Grzybowski Kraków, S. Zajączkowski Rzeszów, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. ..aligórski Tarnów, M. ..wiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, H. Malinowska Rzeczyce, W. Dutkiewicz Przemyśl, S. Sokołowski Lwów, Z. Zawadzki Wadowice, Inż. W. ..eman Szczucin, J. Jabłoński Lublin, J. Bielawski Rzeszów, J. Weber Kraków, M. Sochacka Kraków, M. Łagisz Warszawa, S. Zakrzewski Sandomierz, S. Sygowska Rzeszów, S. Grabowski, Wadowice.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) S. Piekarski, Poznań (książka), 2) M. Łagisz, Warszawa (Kalendarz). Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody.



Przed lwowskim Sądem doraźnym: Malwina i Amalia Burskie, morderczynie ś. p. Weberowej.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Zadania do uzupełniania.
Ułożył X. Y., Lwów.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą dwa nazwiska bolszewików, który grasował w Galicyi Wschodniej:

— o — ak
— k — cya
— a — a
— r — a
— o — ra

Przysłowiówka.
Ułożył Strachajło, Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć znane polskie przysłowie:

1) - - - a - - - a - ie - ie - - y
2) - ie - y - - - o - a - o - o - - a.

REBUS.



Kwadrat magiczny.
Ułożył J. Jakubowski, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a, a, a, a,
a, a, k, m,
n, o, o, r,
r, r, y, z.

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej przypomnienie (zawiadomienie), 2. kalif, 3. Wyraz kupiecki, 4. Napój wyskokowy.

Okienko.
Ułożył S. Balicki Sandomierz.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a a a a d
d e e
e e i m m
n n n
o o s t t

Znaczenie wyrazów: 1. Miejscowość pamiętna z wojny w r. 1871, 2. Poeta włoski, 3. Postać żeńska z Biblii

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1 H Sienkiewicza „Listy z Ameryki" (2 tomy; 2) Kalendarz familijny na r. 1921.